

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2020/1

magazynhisteria.pl

FRAJER

IGLICA

KWIATY GAWĘDZĄCE
O ŚMIERCI

LAMENT

OFIAROWANIE

OSTATNI ELEMENT

OSTATNIA NOC POŚLUBNA

ŚWIĄTECZNY PREZENT
URODZINOWY

W DOMU NAJLEPIEJ

WSPOMNIENIA OTCHŁANI



1/1
2020

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
FRAJER	Olga Bittner-Stachowiak	4
IGLICA	Jakub Luberda	10
KWIATY GAWĘDZĄCE O ŚMIERCI	Marek Trusiewicz	22
LAMENT	Bartłomiej Fitas	44
OFIAROWANIE	Ernest Smutalski	55
OSTATNI ELEMENT	Marek Ścieszek	67
OSTATNIA NOC POŚLUBNA	Natalia "Nana" Kędra	75
ŚWIĄTECZNY PREZENT URODZINOWY	Wojciech Wardziak	83
W DOMU NAJLEPIEJ	Aleksandra Knap	90
WSPOMNIENIA OTCHŁANI	Jarosław Adam Pankowski	100

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka : Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Marcin Czarnecki, Roman Panasiuk. Małgorzata Siłkowska, Izabela Wojciechowska, Zvyrke

Korekta: Kaja Jaroszevska, Joanna Korytko

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

Witajcie!

Przed Wami styczniowa Histeria. To pierwszy numer w 2020 roku!

W środku znajdziecie dziesięć opowiadań szeroko pojętej grozy, w tym teksty autorów, którzy debiutują na łamach naszego magazynu.

Życzymy strasznej lektury i wracamy do prac nad marcowo-rocznicowym wydaniem.



B. Jaworski i M. Zawadzki



FRAJER

Olga Bittner-Stachowiak

– Ty suko! – Zimne warknięcie dobiegło zza cienkiej ściany bloku mieszkalnego – Ty cholerna suko!

Rafał, wyrwany gwałtownie ze snu, przez parę sekund nie wiedział ani gdzie się znajduje, ani co tam właściwie robi. Serce waliło mu jak oszalałe, a całe ciało przeszył nieprzyjemny dreszcz. Pokój zalewała kompletna ciemność, a jedynym co wyzierało z wszechogarniającego mroku, były czerwone cyfry migoczące na wyświetlaczu budzika. Druga piętnaście. Pieprzony środek nocy. Co do cholery? Przetarł zaspane oczy, by strącić z ich kącików zalegającą ropę. Co to za cyrki? Pozornie poirytowany brutalną pobudką, w głębi duszy trząsł się jak osika. Człowiek raz jeden ma wreszcie urlop i próbuje odpocząć, to nie, nie dadzą mu się porządnie wyspać!

To było jedyne o czym zdążył jeszcze pomyśleć zanim usłyszał donośny plask. A później cichy szloch przechodzący stopniowo w żałosny skowyt. A potem znów głucho łupnięcie. Tym razem coś z łoskotem odbiło się od ściany, dokładnie tej, do której zaledwie parę sekund wcześniej z ciekawości przyłożył ucho. Głośno przełknął ślinę. Żałośliwe łkanie przerywane pojedynczymi słowami, wyduszanymi z wysiłkiem pomiędzy atakami bezdechu. To był kobiecy głos, cichy i drżący, łamiący się jakby w obawie przed kolejnym ciosem.

– Proszę...nie...nie rób tego...Sławek...proszę!

– Co nie rób? Co, kurwa, nie rób? Myślisz, że dam z siebie robić rogacza? Jakiegoś pieprzonego jelenia, którego baba puszcza się na prawo i lewo? Ja ci zaraz pokażę, gdzie twoje miejsce, cholerna wywłoko!

– Ale ja nie...– Jej słowa przerwało kolejne chłnięcie. I jeszcze kolejne. A potem nastała chwilowa cisza.

– Czy ja ci pozwoliłem otwierać gębę? Siedź cicho, szmato jedna! Cholera wie, co w niej wcześniej trzymałaś... Już ja widziałem, jak się lampił dziś na ciebie ten dupek spod dwójki... Prawie mu gały wyszły na wierzch. I ty z tymi twoimi trzepoczącymi rzęsami... Dziwka! Dziwka, jakich mało!

Rafał leżał jak sparaliżowany z uchem wciąż przyklejonym do chłodnego muru. Co tam się, do cholery, dzieje? Zadawał sobie w duchu to pytanie raz za razem, jakby odprawiał mantrę, choć doskonale znał na nie odpowiedź. Dobrze pamiętał te dźwięki. I dobrze wiedział, co oznaczały. Minęło tyle lat, a one wciąż wracały w jego snach jak bumerang. Dziesiątki myśli kotłowały się w jego głowie. Co robić? Co do cholery powinien zrobić? Zareagować? A co, jeśli nie będzie miał z agresorem żadnych szans? I jak to się skończy, jeśli te wrzaski zignoruje? Czy będzie mógł jeszcze kiedykolwiek zmrużyć oko? A może do końca życia będą go nawiedzać koszmary? A może ktoś inny usłyszy i zadzwoni na policję...? Leżał w bezruchu, wsłuchując się w ciszę zalegającą na klatce schodowej, co jakiś czas brutalnie przerywaną męskimi okrzykami zza ściany. Dlaczego musiało to spotkać właśnie jego? Za jakie grzechy? Zbyt wiele pytań, a tak mało odpowiedzi...

Kolejny trzask przerwał jego gorączkowe kalkulacje. Kobieta już nie płakała, teraz jej szloch zastąpiło przerywane charczenie. Tak, jakby coś utkwiło w jej krtani i uniemożliwiało swobodnezaczerpnięcie powietrza. Ten dźwięk też doskonale znał. Miał wtedy z siedem, a może osiem lat. Ledwo odrastał od ziemi, dlatego bez problemu zmieścił się pod niskim kuchennym stołem, przy którym na co dzień odrabiał lekcje. Dlaczego się tam znalazł? Nie, nie szukał zagubionej kredki, która nieopatrznie sturlała się pod krzesło. Bardzo dobrze

pamiętał tamten dzień, zupełnie jakby znów tam siedział, skulony i przerażony, pod drewnianym blatem. Ta jedna scena do dziś nawiedzała go w snach. Jego kolana drżały, objijając się od siebie, a chude ramiona kurczowo oplatały podwinięte nogi. Trząśł się i jak w transie obserwował spienione usta ojca, ciskające spomiędzy zębów soczyste obelgi i kropelki gęstej śliny. Ale to nie on by ich adresatem, Rafał stał się niewidzialny, całkowicie przezroczysty. Odbiorcą bluzg okazała się matka, zapłakana i wtulona w zimną kafelkową posadzkę. Jej twarz, zalana łzami i krwią, nie przypominała już ani trochę tej uśmiechniętej i ciepłej, która przyjaźnie spoglądała mu w oczy podczas powtórki tabliczki mnożenia. A minął zaledwie kwadrans. Jej opuchnięta dolna warga przypominała dojrzałą śliwkę, a nos zmienił się w krwistą miazgę. Matką zaczęły targać torsje. Próbowwała wyrównać oddech i wstrzymać spazmy, ale poirytowany wydawanym przez nią bulgotem ojciec uderzył po raz kolejny. Mocno i celnie. Tuż pod sam splot słoneczny. Wymioty gwałtownie rozbryzgnęły się na szafkach kuchennych, a matka ułamek sekundy później padła bez ruchu. Tylko jej prawa dłoń drżała prawie niezauważalnie na zimnej podłodze. Ostatni dowód na to, że jeszcze żyła.

A teraz znów był świadkiem piekła. Awanturująca się para, a raczej brutal wyładowujący swoje frustracje na bezbronnej kobiecie, mieszkali w apartamencie obok od niedawna. W zasadzie nie zdążył ich jeszcze poznać, praca na drugą zmianę nie ułatwiała kontaktów towarzyskich, nawet z najbliższym sąsiedztwem. Pierwszy raz był jednak świadkiem takiej awantury. Widywał ich przelotnie w windzie albo przy skrzynkach na listy. Wyglądali normalnie, jak zwykła kochająca się para. On jednak doskonale wiedział, że pozory potrafią mylić. Do feralnego dnia jego rodzice co niedzielę, wystrojeni w najlepsze ubrania, z uśmiechem od ucha do ucha, siadali w parafialnej ławce trzymając się za ręce i modląc o kolejne cudowne rodzinne chwile. Nie z nim te numery. Musiał natychmiast coś zrobić. Nie mógł dłużej sterczeć jak kołek, musiał zareagować. Telefon na policję. To była pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy. Musiał tylko znaleźć telefon, ale dalej leżał jak sparalizowany. Strach, którego smak poznał jako podłotek, wrócił ze zdwojoną siłą. Napierał na niego z całą mocą i przygniatał jego żebra do rozgrzanej i przepoconej pościeli. Nie mógł się ruszyć. Atawistyczny lęk kazał mu siedzieć cicho, ściany były takie cienkie. On mógł go przecież usłyszeć. Rafał znów był małym chłopcem pod kuchennym stołem z dygoczącymi kolanami i plamą moczu na spodenkach.

Nagły łomot wyrwał go z odrętwienia. Kobieta cicho łkała i na okrągło szeptała jedno i to samo słowo. „Błagam” ...On wiedział, że to błąd. Matka przerabiała dokładnie ten sam scenariusz, i to wiele razy. Nic tak nie rozjuszało ojca, jak jej skomlenie o litość. Kolejne tępe uderzenie tylko potwierdziło, że kobieta zza ściany nie mogła liczyć na łaskę. Do kurwy

nędzy, po raz kolejny wychodził z niego cholerny tchórz. Dokładnie ten sam, który w milczeniu obserwował bąbelki krwi zmieszanej ze smarkami pękające pod nosem nieprzytomnej matki. I ten sam, który nie potrafił zatrzymać przy sobie Malwiny. Miłość nie wystarczyła. Jego oddanie to było zbyt mało. Mirek z pracy oferował więcej. On przynajmniej nie był frajerem, jak to skwitowała Malwina, wyciągając z szafy kolejną walizkę. Rafał nie polemizował. Nie było z czym. Drzwi zatrzęsnęły się za nią z hukiem, a jemu pozostały tylko ślady po zakurzonych kółkach kabinówki na parkiecie. Został tylko on, frajer, który pozwolił sobie odebrać drugą połówkę. Może nie idealną, ale jednak jego. Na samo wspomnienie zaczęło się w nim gotować. Upokorzenie paliło go żywym ogniem. Frajer! Frajer! Do tego jednego słowa zredukowała jego skromną osobę Malwina. Tym samym słowem obrzucił go ojciec, kiedy chłopak wreszcie podczołgał do matki i wciągając smarki zaczął głaskać jej dłoń. Jakby to mogło wszystko zmienić. Jakby kobieta miała za moment wstać uśmiechnięta i żwawo zabrać się do smażenia naleśników, które mu przecież obiecała. Zwykły frajer.

Krzyki sąsiada nie ustawały, mimo że kobieta nie wydawała z siebie już żadnych dźwięków. Ta cholerna cisza wgryzała się w umysł Rafała. Już wołał charczenie i bulgot. Przynajmniej wiedziałby, czy sąsiadka jeszcze żyje, czy nie jest już za późno. Sumienie zaczęło mu ciążyć. Wstąpiły w niego nowe siły. Odgonił ręką niewidzialne chmury przeszłości i postanowił działać. Zbyt wiele traum z lat młodości spędzało mu sen z powiek, żeby dokładać sobie jeszcze jedną do kompletu. Zerwał się gwałtownie z łóżka i rzucił w stronę kanapy. To tam ostatni raz widział swój telefon. Mały plastikowy łącznik ze światem zewnętrznym wpadł między siedzisko a podłokietnik. Rafał przez chwilę się zawahał, ale ostatecznie podniósł komórkę i wklepał drżącym palcem dwie pierwsze jedyńki. Za ścianą zgrzytnęły wysłużone sprężyny łóżka. Coś ciężkiego odbiło się od nich i sapnęło. Przyspieszony nerwowy oddech dobiegający z mieszkania obok obudził w nim najgorsze przeczucia.

– Tak się lubisz pieprzyć? Lubisz być podrywana? To ja ci szmato zaraz przypomnę, jak to jest być z prawdziwym facetem! Nie zapomnisz tego do końca życia!

Upiorne wrzaski mężczyzny mieszały się z dźwiękiem prutej tkaniny. Tego było już za wiele. Kciuk Rafała zatrzymał się na ostatniej cyfrze numeru alarmowego, ale na niego nie naparł. Zdeterminowany rzucił telefon na sofę i z zaciśniętymi pięściami ruszył w stronę drzwi. Szarpnął nimi z taką siłą, że spod futryny posypał się tynk. Drzwi obok były zamknięte na cztery spusty, tarmoszenie klamki tę i we w tę nic nie dawało. Zaczął walić w drzwi

zaciśniętą pięścią. Bezskutecznie. Awantura w środku trwała w najlepsze, a w zasadzie trwał coraz bardziej krzykliwy monolog psychologa. Facet musiał być w kompletnym amoku.

Rafał jednym susem wrócił do mieszkania i zaczął nerwowo rozglądać się dookoła. Zagracony korytarz wyglądał jeszcze bardziej odpychająco niż zwykle. Odchodząca od ściany tapeta odsłaniała szary tynk. Niedomykająca się szafka na buty niebezpiecznie przechylała się do przodu. Jego wzrok zatrzymał się na spiżarce wbudowanej w ścianę na końcu zacienionego przedpokoju. Zamiast mąki i makaronów trzymał w niej narzędziownik. Małe sanktuarium, w którym można było znaleźć wszystko, czego przeciętny facet potrzebował do drobnych napraw. Teraz zapowiadał się spory remont.

Kiedy znalazł to, na co podświadomie polował, wrócił pod drzwi awanturującego się sąsiada. Z początku uderzał rękojeścią, jednak gdy nie odniosło to najmniejszego skutku, wpadł w szal. Ostrzem toporka zaczął walić w tandetną płytę z MDF-u, aż wszystkie żyły wyskoczyły mu na przedramieniu. Jego czoło pokryło się kropelkami potu a pod pachami pojawiły się wilgotne plamy. Papierowe wióry wirowały w zatęchłym powietrzu klatki schodowej i drażniły jego nozdrza. Nie zwracał na to uwagi. Biała gorączka trzymała go w swoich szponach i nie zamierzała puszczać. Musiał dorwać skurwysyna, który nadal nie przestawał katować własnej żony. Socjopaty, którego błagalny płacz kobiety nakręcał jeszcze bardziej. Nie liczyło się nic więcej. Reszta świata przestała istnieć. Nagle ostrze siekiery napotkało pustkę. Drzwi stały otwarte na oścież, a za nimi drapał się po owłosionym brzuchu nabuzowany facet w bokserkach, z irytacją wymalowaną na twarzy. Nerwowo przygryzał wargę, po czym wypluł z siebie banalne:

– Co, kurwa?

– A to, kurwa... – Równie wyczerpująco odburknął Rafał, po czym zamachnął się jeszcze raz.

Kolejnych uderzeń już nie zapamięta. Pozostanie mu tylko mgliste wspomnienie lepkiej cieczy na twarzy oraz koszuli klejącej się do ciała. A koszmarnie krzyki nadal będą dźwięczeć mu w uszach. Dopiero za pięć godzin, kiedy będzie usiłował umościć się wygodnie na piekielnie twardym krześle dla petentów, zobaczy je. Te cholerne zdjęcia na blacie biurka, patrzące na niego z wyrzutem. Po szortach w palmy domyśli się, że ma przed sobą sąsiada. To co kiedyś było jego głową, na zdjęciu przypominać będzie galaretkę truskawkową, taką jaką lata temu robiła mu mama. Choć może jednak trochę mniej apetyczną. Od natłoku informacji będzie mu dzwoniło w uszach, a w głowie zacznie wirować cały świat. Nie będzie w stanie się bronić. Słowa ugrzęzną mu w gardle, a szare komórki

zaczną pracować na najwyższych obrotach, byle tylko ogarnąć to, co się wokół niego będzie działo, byle to zrozumieć.

– Niepojęte. To się po prostu w głowie nie mieści...– Mówiąc to, wysoki szpakowaty mężczyzna pochylił się nad nim, oprze masywne i pokryte odciskami dłonie na stojącym pomiędzy nimi stole. Z każdym słowem z jego ust tryskać będą kropelki wzburzonej śliny. Za plecami Rafała nabity facet w wymiętej koszuli i przykrótkich spodniach zacznie maszerować to w jedną, to w drugą stronę, jakby zaraz miał wybuchnąć i postanowił to rozchodzić. Tuż za nim światło jarzeniówki odbijać się będzie refleksami od szyby zamontowanej na całej długości ściany.

– Facet, czyś ty kompletnie postradał zmysły? Tyle dymu o cholerne pudło?

– Ja...

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, z tego co zrobiłeś? I czym to się dla ciebie skończy? Czy ty w ogóle zastanowiłeś się przez chwilę? Pomyślałeś o konsekwencjach? Przerobić sąsiada na mielonkę tyrolską tylko dlatego, że zbyt głośno oglądał horror? Świat się, kurwa, kończy... Czeką cię długa odsiadka kolego. Bardzo długa...

Rafał natomiast nie odpowie już nic, będzie milczał i analizował w myślach wszystko to, co wydarzyło się parę godzin wcześniej. Będzie zadawał sobie miliony pytań, na które nie otrzyma żadnej odpowiedzi. Ale do mężczyzny już się nie odezwie. Bo co w zasadzie miałby powiedzieć? Że to pomyłka? Że źle ocenił sytuację? I wtedy z ust śledczego padnie to słowo. Znow to samo cholerne słowo, które prześladować będzie go już do śmierci, do dnia, kiedy zawisnie na splątanych sznurowadłach. Od bębenków jego uszu odbije się echem ten jeden znienawidzony dźwięk, a w jego duszy znow coś pęknie.

– Frajer... Normalnie zwykły frajer.

rys. Zvyrke



IGLICA

Jakub Luberd a

Kazmińscy popatrzyli po sobie zatroskani i przerażeni, gdy drzwi do pokoju ich córki Celiny zatrzęśły się ponownie. Zawiasy ledwo trzymały i niedługo nie pomogą nawet liczne łańcuchy i kłódki.

Nie zmrużyli oka od ponad tygodnia. Wszystko przez opętane krzyki, przeplatane groźbami i płaczącym błaganiem, dochodzące ze środka. Liczyli, że dziewczyna się zmęczy i zaśnie. Wówczas mogliby wejść i ją obezwładnić. Ten moment uparcie nie chciał nadejść.

Drzwi zatrzęśły się ostatni raz i przez dyktę przebiła się dłoń, od drapania zdarta do kości. Rzucili się, by otworzyć zamki. Chcieli zdążyć, zanim latorośl się wykrwawi.

Gdy ustąpił ostatni, drzwi z impetem otworzyły się na oścież, ich siła odrzuciła Kazmińskiego pod ścianę. Zza nich wypadł cień ich dziecka: brudny, wychudzony, rozczochrany i z obłądem w oczach. Natychmiast pognął na klatkę schodową. Matce mignęła tylko różowa wstążka do włosów za załomem ściany.

Z pokoju wysypała się sterta rysunków robionych w pośpiechu. Wszystkie przedstawiały spiczasty szczyt górski. Szkice pokrywały też całe pomieszczenie. Z sufitem włącznie.

Jacek Wolnomierski poczuł, że uczucie gorąca w kroczu narasta. Przycisnął kość łonową, by ból i ucisk zelżały, ale pomagało to tylko na krótką chwilę. Napór od wewnątrz zdawał się nasilać, jakby w miednicy mieszkał pasożyt, który jawnie protestował przeciwko ograniczaniu jego przestrzeni życiowej. I wciąż rósł.

W końcu udręka stała się tak nieznośna, że mężczyzna syczał przez zaciśnięte zęby. Cierpienie doprowadzało go do szaleństwa, ale nie było na tyle silne, by wymusić na jego mózgu utratę przytomności. To etap, gdy myśli o odrąbaniu sobie doskwierającej części ciała siekierą zaczynają wydawać się racjonalnym posunięciem.

Jego krocze wciąż pęczniało. Nagle wybuchło i zalało ściany supernową krwi.

I wtedy się obudził, zdyszany i mokry od potu. Odetchnął z ulgą, gdy uświadomił sobie, że to tylko koszmar. Ciągłe ten sam. Nawiedzał go odkąd pojechał na wycieczkę w Bieszczady. Towarzyszyło mu nieodparte przekonanie, że musi rzucić się z konkretnej, określonej półki skalnej w górach, bo inaczej wizja ze snu się ziści. Z początku ignorował tę nedorzeczną myśl. Teraz jednak, gdy czekała go kolejna źle przespana noc, nie miał już takiej pewności. Nie mógł przestać myśleć o szczycie, którego nie wiedział nawet, gdzie szukać.

Widział go jednak wyraźnie. Nie miał wątpliwości, że szczyt istnieje. Dłoń mężczyzny wciąż sięgała po ołówek i papier. Jak dokładnie by go nie odwzorował, nic nie potrafiło oddać jego uwodzicielskiego piękna.

Westchnął i odsunął kołdrę, by wyjść do łazienki. Ledwo to zrobił, zachłysnął się powietrzem i zamarł z wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma.

Na pościeli w okolicach krocza była krew.

– Dokąd mogła pobiec? – pytał Janusz Kazmiński, bardziej siebie niż żonę, która sprawiała wrażenie równie zdezorientowanej.

– Spójrz! – zawołała go od okna. – Na ulicę wyszli inni ludzie. Może poszła z nimi?

– A jeśli nie? Co jeśli to inni rodzice, którzy też szukają swoich dzieci? – zapytał zrezygnowany.

– Co z tego? Co innego nam pozostaje? Razem szukać jest łatwiej!

Janusz przygryzł wargę.

– Nie przeżyje nocy w górach sama! Zamarznie!

Ojciec skinął powoli i po dłuższej chwili zastanowienia ruszył do drzwi, przy których założył kapelusz i wiatrówkę.

Obóz oświetlały pochodnie. Tu w środku położonej wysoko w górach głuszy na nic zdawały się agregaty prądotwórcze. Szybko zdecydowano, by się je wyłączyć. Ich buczenie mogło skłonić tych, na których obozowicze czekali, do zejścia z trasy. Musieli podejść na tyle blisko, by ich schwytać.

Grupa wspólnymi siłami pocięła pnie w niekształtne deski i przybiła do drzew, by ograniczyć liczbę przybyszów, którzy będą próbowali przedrzeć się przez ich szeregi.

Ziemowit Truchlewicz chuchnął w dłonie i potarł je o siebie. Jego usta buchały parą jak gawra śpiącego smoka. Noc w lesie była wyjątkowo zimna. Mężczyzna z napięciem ściskającym za serce wyczekiwał nadejścia pierwszej fali samobójców. Podejrzewał, że znajduje się wśród nich jego syn Czesław. Dowiedział się od pracowniczki zakładu, w którym umieścił syna dla jego własnego bezpieczeństwa, że ten zdołał zbiec. Ziemowit już stracił w górach młodszego syna. Nie zamierzał pozwolić, by zginął jego ostatni żyjący potomek. Nie chciał też, by którykolwiek inny rodzic musiał przeżywać to, co on. Nie życzył tego najgorszemu wrogowi ani nawet najpaskudniejszemu diablui w piekle. Poważnie.

Razem z obozowiczami zajęli wąską gardziel na jedynej drodze prowadzącej w najwyższe partie gór. Mało prawdopodobne, by nacierający chcieli ryzykować wspinaczkę po ścianach skalnych tak stromych, jak fala zapadająca się nad surferem.

– Nadchodzą! – Sąsiad w kowbojskim kapeluszu i z wąsami jak podkowa nagle zerwał się z pnia, na którym siedział. Zaczął znów wpatrywać się w ekran laptopa, poprzez który odbierał obraz kamer na podczerwień z rozmieszczonych po drodze.

Wkrótce zebrał się wokół niego tłum gapiów.

– Jest ich zbyt wielu! – zmartwiła się jedna z matek, która nalegała, by pozwolono jej dołączyć do pracujących w lesie. Nawet nie chciała słyszeć, że wykonywanie barykad to nie robota dla kobiet.

– Zatrzymamy, ilu się da. Wszyscy na stanowiska! – Kowboj odłożył wystużonego Hiulet-Pakarda i energicznymi gestami wydał dyspozycje.

Nagle deski zatrzeszczały, najpierw krótko, potem przeciągle. Jakby ziewnął przebudzony z odwiecznego snu duch lasu. Podniosła się wrzawa pełna rozpaczy i niezadowolenia. Część tłumu ruszyła wzdłuż ścian, do zakamuflowanych zagród, które zamknęły się, gdy przecięto liny podtrzymujące furty ukryte wysoko między gałęziami. Napieranie trwało jeszcze kilka minut, aż w końcu ustało.

Za to rozległy się odgłosy kopania.

– Ziemia jest zmarznięta! Zedrą sobie dłonie do krwi! – lamentowała przysadzista starsza kobieta.

– Szybko! Po kłódkach i rzucić na nich sieć!

Zanim jednak zdążyli to zrobić, powaliły ich na ziemię tłumy przelewające się ponad barykadą. Najwyraźniej wpadli na pomysł, by utworzyć dla pozostałych żywe schody, w nadziei, że ci otworzą im wrota od środka.

Gdy przewróceni obrońcy stanęli na nogach, intruzi już znikali biegiem w głębi obozu. Wśród nich Ziemowit zobaczył Cześka.

– Nie, Czesiu! Stój! – Wyciągnął rękę, jakby miało to potomka powstrzymać.

Ten nie obdarzył go nawet przelotnym spojrzeniem. Ojciec rzucił się w pościg. Gdy w końcu dogonił wycieńczonego marszem młodzieńca, ten wyrwał się i przewrócił mężczyznę na glebę.

– Tam są zasieki! Zginiesz! – wołał za nim rozpaczliwie. Na Czesławie nie zrobiło to większego wrażenia.

Wtem rozległ się huk i biegnącym Cześkiem szarpnęło do przodu.

– NIE! – wrzasnął chłopak i pokuśtykał naprzód.

Wtedy otrzymał strzał w drugą nogę od obozowicza przygotowanego na tę ewentualność. Ojciec Czesława dusił łzy, ale wiedział, że to konieczne. Wolał go mieć na wózku do końca życia niż martwego.

To jednak nie powstrzymało młodzieńca. Jęcząc z bólu i rozpacz jak potępieniec, czołgał się. W stronę zasieków.

– Nie! Czekaj! – Ojciec wygramolił się na równe nogi i rzucił się, by usunąć drut kolczasty z drogi, gdy syn przemknął się pod pierwszą linią. Chłopak ranił sobie ręce. Wczołgał się między kolczaste zwoje, wykrwawiał, ale uparcie parł naprzód. W końcu znieruchomiał z pełnym rezygnacji westchnieniem.

Ojciec, bełkocząc i płacząc, przekraczał zwoje drutu. Próbował dostać się do dziecka. Przewracał się i omal nie wybił sobie oczu o kolce. Gdy rodzic do niego dotarł, uniósł i oparł leżącego chłopaka. Był niczym Iwan Groźny na sławnym obrazie, trzymający syna, którego przed chwilą zabił. Ziemowit wyglądał nie lepiej od swojego, martwego już, syna: podrapany, zakrwawiony, w ubraniu porwanym przez zadziory.

Ktoś spieszył w ich stronę z przecinakiem.

Tymczasem w innej części obozu jeden z ojców, Tyberiusz Pękata, trzymał na muszce pistoletu chłopaka, który bezskutecznie próbował wyrwać się przytrzymującym go mężczyznom.

– Synu, czemu to robisz staremu ojcu? Jesteś wszystkim, co mam. Nie byłem najlepszym tatą, ale starałem się, jak mogłem. – Jego oczy zaszkliły się od łez.

– Wiem i kocham cię, tato, ale już dłużej nie zniosę tego bólu! – Chłopak też płakał.

– Znajdziemy innego lekarza. Lepszego. Wytrzymaj jeszcze trochę! – Ręce mu drżały, ale starał się je trzymać prosto.

– Dobrze wiesz, że na to żaden lekarz nic nie pomoże! Musisz mi pozwolić odejść, tato!

Ojciec zacisnął wargi w bolesnym grymasie.

– Mój syn nie odejdzie jak grzesznik!

Chłopak padł na kolana.

– Błagam cię! – zawył.

Wyglądał żałośnie. Mężczyzna zastanawiał się, czy tak wygląda życie rodziców, którzy przywiązują dzieci do kaloryfera, by te więcej nie ćpały.

Syn poczłapał do niego, ciągnąc do przodu trzymających go za rękawy obozowiczów, i złapał Tyberiusza za nogi.

– Ja już dłużej tak nie mogę! – załkał.

– Wypuście go – powiedział Pękała zrezygnowanym tonem.

Ci popatrzyli na niego pytająco i nawet, gdy ten skinął głową, zrobili to bardzo niechętnie. Machnął niedbale pistoletem, by się odsunęli.

– Dziękuję, tato, że pozwalasz mi odejść!

– Nie ma za co, synu. Nie ma za co – odparł łagodnie.

I wtedy podniósł broń i strzelił chłopakowi prosto w czoło. Obozowicze stojący nieopodal wzdrygnęli się wstrząśnięci, lecz zanim zdążyli cokolwiek zrobić, Tyberiusz włożył sobie lufę do ust i pociągnął za spust.

Jacek usłyszał odległy huk, potem kolejny. Zrobiło się zamieszanie, więc wykorzystał nieuwagę obozowiczów i przemknął się przez obóz. Gdy znalazł porzuconą deskę, przerzucił ją nad zasiekami. Teraz był już na najlepszej drodze na szczyt.

Nie wiedział, którędy iść, więc zdawał się na wyczucie. Słyszał w głowie głos, który wskazywał mu kierunek. Szedł, aż wreszcie znalazł się przed półką skalną ze swoich wizji. Uśmiechnął się od ucha do ucha, jak wierny na widok boga, który postanowił objawić się właśnie jemu.

Drogę zastąpiła mu jednak dwójka policjantów. Wychyliła się z krzaków i złapała za poły kurtki.

– Puśćcie mnie! Nie rozumiecie! Ja muszę tam iść! – krzyczał Jacek, próbując wyrwać się mundurowym, pilnującym dostępu do przepaści.

– To nie twój czas! Zawróć! – przekonywał młody blady czarnowłosy i niebieskooki funkcjonariusz. Wyglądał jak pracownik kostnicy albo domu pogrzebowego.

Szarpał się z nimi przez dłuższą chwilę, gdy ci próbowali go skuć, aż nagle poczuł, że jest wolny. Przewróciła ich zakrwawiona dziewczyna z różową wstążeczką u włosów, z szaleńczym śmiechem biegnąca ku przepaści.

Tuż przy krawędzi potknęła się i spadła. Euforia przeszła w rozpacz.

– Ta była moja! – wrzeszczał z wyrzutem Jacek na dziewczynę nadzianą na jedną z iglic, obok setek innych osób.

Znienacka ziemia się zatrzęsała i rozległ się przeraźliwy, przenikliwy wrzask. Iglice, jedna po drugiej, zapadały się pod ziemię. Policjanci z wyrazem typowego dla nich strachu przed nieznanym postąpili o kilka kroków do tyłu, po czym uciekli z krzykiem.

Jacek stracił przytomność z wycieńczenia i wyziębienia. Obudził się w nocy. Sam. W środku gór. Nie pamiętał, jak tu trafił. Wiedział tylko, że odczuwa pustkę. Wciąż słyszał głos, który kazał mu skoczyć, ale nie było już dla kogo. Jego bracia i siostry odeszli bez niego. Czuł się wyjęty poza pętlę czasu. Jakby wszystko, co się działo na świecie, już go nie dotyczyło.

Zbliżył się do krawędzi skalnego nawisu, ale nie dostrzegł iglic ze swych wizji. Nie widział innego wyjścia, więc bezmyślnie ruszył drogą prowadzącą ze szczytu.

– Dlaczego nie pozwolimy im po prostu skoczyć? Przecież i tak to zrobią! Nie dziś, to jutro! – pytał niski mężczyzna o posturze drwala, noszący czapkę uszatkę.

– Jaką mamy gwarancję, że po nich nie przyjdzie czas na nas? Może to nasze dzieci wyjdą z domu i już nie wrócą? Albo my sami? Kto będzie nas wtedy szukał? – odparła wysportowana młoda kobieta z bliznami potrądzikowymi na twarzy i dolną połową ciała dysproporcjonalnie większą od górnej.

Kluczyli między drzewami, omiatając okolicę światłem latarek. Szukali tych, którzy przeżyli. Po tym, gdy zatrzęsała się ziemia, intruzi nagle zatrzymali się otępiali i bez oporu dali się sprowadzić w dół.

– Patrz! Ktoś idzie drogą! – Mężczyzna wskazał nieznajomego promieniem latarki.

– I to ze szczytu. Widać nie przejmuje się tym, że może kogoś spotkać.

Skierowali kroki w stronę nieznajomego. Na ich widok zamarł jak zaskroniec.

– Hej, nie bój się. Jesteśmy tu, by zabrać cię do domu!

Chłopak wyraźnie się rozluźnił.

– Jestem Magda. – Wyciągnęła dłoń na powitanie. – A to Krzysiek. – Wskazała kolegę ruchem głowy. – A ty?

– Jacek – wykrztusił, przenosząc wzrok z Magdy na Krzyśka, jakby zaraz mieli go zabić.

Po cichu miał taką nadzieję.

Po drodze zgarnęli jeszcze dziewczynę, Arletę Powróż. Jacek nie mógł przestać na nią zerkać. On też wpadł jej w oko. Połączył ich wspólny los. Przegadali całą drogę jak starzy znajomi.

Jeep Cherokee zatrzymał się przed domem Jacka. Na podwórku zastał zatroskanych ojca i matkę. Gdy tylko wyszedł, rzucili się mu na szyję i wyściskali, jakby wrócił z wojny, na której rzekomo zginął. Jacek nie protestował, ale i nie odwzajemnił uścisku. Było mu wszystko jedno. Po okresie, który nawet Bogu musiał wydawać się wiecznością, zaciągnęli go do środka, a on bezwolnie poszedł za nimi.

Nie chciał jeść, tylko od razu skreślił do swego pokoju. Nie mógł spać, więc całą noc wpatrywał się tęsknie w rysunki przeznaczonej mu iglicy. Próbował ją obejrzeć na zdjęciach satelitarnych w Google Earth, ale ze zdziwieniem odkrył, że iglic na nich nie ma.

Ból w kroczu i przeświadczenie o tym, że żyjący w nim pasożyt wydostanie się na wolność, znikły.

Nazajutrz beznamietnie zjadł śniadanie, rysując przy tym jeszcze więcej szkiców gór. Rodzice patrzyli na niego zaniepokojeni.

– Wiemy, że jest ci ciężko, ale postaraj się żyć normalnie. Może z czasem zapomnisz o tym, co cię gryzie?

On tylko wzruszył ramionami.

Robił, co mu matka z ojcem podpowiadali, bo sam nie miał już pomysłów na siebie. Dla niego życie się skończyło. Poradzili mu, by poszukał roboty, więc znalazł pracę, ale rutynową, by móc cały czas myśleć o górze.

Potem poradzili mu, by sobie kogoś poszukał, bo człowiek jest mniej nieszczęśliwy, jeśli nie jest nieszczęśliwy sam. Ożenił się z dziewczyną z jeepa, która nie zdążyła dotrzeć do swej iglicy.

Nie wydawali się szczęśliwi, więc rodzice zasugerowali synowi, że może odnajdzie sens w ojcostwie. Dziewięć miesięcy później urodziła im się śliczna dziewczynka. I pewnie

byłby to kolejny punkt na liście rzeczy, które inne pary w odfajkowują w życiu, żeby uchodzić za normalne. Jednak pewnego dnia, gdy dziecko przebywało w domu, w którym Jacek mieszkał ze swoimi rodzicami (matka i ojciec mężczyzny ochoczo pomagali wychowywać wnuczkę, gdyż młode małżeństwo odnosiło się do niej z obojętnością), Jacek doświadczył czegoś, co odmieniło jego życie. Wpatrywał się oniemiały w dziecko, a ono przyglądało mu się w dojrzały i świadomy sposób, a następnie – mógłby przysiąc – do niego przemówiło. I to głosem Pana Góry, który tamtej nocy zaprowadził go do iglicy.

– Wiem, że mnie słyszysz, więc słuchaj uważnie, bo powiem to tylko raz. Zabierzesz mnie w góry i strącisz z występu skalnego i w przepaść, jasne? Wtedy z twoją kobietą odzyskacie należne wam iglice.

Jacek otrząsnął się z chwilowego letargu i nie był pewien, czy rzeczywiście doświadczył tego, czego był świadkiem. Małeństwo bawiło się na podłodze, gugając wesoło do misia. W spojrzeniu dziewczynki nie znalazł ani śladu świadomości tego, co się wokół niej dzieje.

Mimo wszystko Jacek odżył. To przeżycie rozbudziło jego dawne nadzieje. Poderwał matę z dywanu, pospiesznie ubrał i wybiegł z domu. Wsiadł do używanej Skody Fabii i pojechał odwiedzić żonę w pracy.

Energicznym krokiem przemierzył dziedziniec siedziby dostawcy energii – kobieta tam pracowała – i wyszedł schodami na piętro. Nie zastał jej jednak przy biurku. Złapał przechodzącą pracowniczkę, pulchną ciemnowłosą kobietę po czterdziestce w okularach.

– Przepraszam, czy Arleta dawno wyszła na przerwę?

– Nie, nie wyszła. W ogóle nie było jej dziś w pracy.

– Nie?

– Tak jest. Pan nic o tym nie wie?

– Nie miałem pojęcia.

– Czy wszystko z nią w porządku?

– Mam nadzieję. Pojadę jej poszukać.

Pożegnał się i opuścił budynek. Pomyślał, że to dziwne, ale nie zaprzętał sobie tym głowy, tylko od razu pojechał do jej domu rodzinnego, gdzie mieszkała sama, zanim się poznali. Domostwo leżało tuż przy granicy miasteczka z górami.

Telefon w kieszonce między siedzeniami zabuczał kolejny raz. Na ekranie wyświetlił się identyfikator matki Jacka. Nie miał ochoty odbierać. Wiedział, że jego rodzice będą się martwić o wnuczkę i najpewniej pojadą szukać jej u Arlety.

Ale to już nie miało znaczenia.

Zatrzymał się przed zaniedbanym dworkiem i zadzwonił do drzwi. Żona nie odpowiadała. Pociągnął za klamkę i wszedł do środka. Wiedział, że małżonka nie przejmowała się takimi drobiazgami, jak zamykanie drzwi na noc.

– Arleta? Jesteś tu? Mam dobre wiadomości!

Dość, odpowiedziało mu echo.

Wtem dostrzegł cień od strony schodów i pomyślał, że to włamywacz. Prawda okazała się jednak inna. Z piętra patrzyła na niego z wyrzutem Arleta.

Wisiąca z poręczy balkonu.

Jacek zrobił krok do tyłu, zaskoczony. Żałował, że Arleta nie doczeka tego, jak potęcą się w wieczności, ale nie tracił czasu. Czym prędzej wybiegł z domu w stronę gór. Wiedział, że żona by tego chciała.

Nie zauważył, że gdy wystrzelił z domu, dostrzegli go jego rodzice. Pojechali tropem syna, zaniepokojeni zniknięciem wnuczki i tym, że telefony młodego małżeństwa milczały.

Jacek trzymał małą pod pachy nad krawędzią.

– Chcesz ją? Chcesz?!

Daj mi ją!, odezwał się głos z mieszaniną podekscytowania i zniecierpliwienia.

– Najpierw iglica! – Opuścił dziewczynkę i przytulił do piersi.

Gdzie twoja kochanka?

– Nie żyje. Była słabej wiary.

Rozumiem. Oto i on.

Z głębi ziemi powoli wyłonił się pojedynczy spiczasty szczyt. Dokładnie taki, jakim go zapamiętał.

A teraz dziecię!

– Chcesz je? To je sobie weź!

– Nie, synu! Co ty robisz?! Zostaw ją!

Jacek odwrócił się i zobaczył nadbiegającą matkę. Rzucił jej niemowlę w ramiona. Musiała skoczyć naprzód, by je złapać. Chłopak zrzucił się tyłem ze skały. Pan Góry usiłował ją przed nim schować, ale nie zdążył.

Jacek wkrótce nadział się na szczyt. Niestety, szpic ominął ważne organy i chłopaka czekała powolna i bolesna śmierć. Mimo to w głębi duszy cieszył się, że to już koniec i dopiął swego. Jednak zamiast mistycznego poczucia jedności z całym wszechświatem i wszelkimi formami życia, jakie obiecywał mu Głos, zobaczył coś innego. Uzyskał wgląd w plany Pana Góry. Widział gigantyczną kulę wpół wtopionych w siebie nagich ciał. Młodych, gdyż tylko takie posiadały elastyczność skóry odpowiednią do jego celów. Część ludzi stanowiła pępowinę, którą kula połączona była z Ziemią. Był zamierzał uderzyć w kulę ciał z ogromną siłą. Tak, by elastyczny sznur się rozciągnął i przyciągnął kulisty zlepek ciał z powrotem do Ziemi. Ten miał uderzyć w planetę i wybić ją z orbity, by powędrowała ku rodzimej planecie Pana Góry.

Aby osiągnąć cel, musiał obejść problem wolnej woli ludzi. Nie mógł ich tak po prostu zabić. Musiał sprawić, by sami chcieli oddać mu swe życie. Na szczęście dla niego wystarczyło stworzyć problem i podsunąć im rozwiązanie. Nieważne, że opierało się na oszustwie i szantażu. Ostatecznie decyzja o tym, by ze sobą skończyć, należała do ofiar.

Dziecko Jacka i Arlety posiadało genetyczną mutację, która dawała mu niezwykle właściwości regeneracyjne. Był mógłby z jego tkanek stworzyć potrzebne mu ciała bez pomocy samobójców.

Pan Góry miał ograniczoną mobilność, więc ludzie musieli spadać na szczyty leżące obok tych, na które nabiły się osoby z podobną grupą krwi. Inaczej przy łączeniu ich ciał tkanki odrzuciłyby „przeszczep”. Cały twór zacząłby gnić i straciłby elastyczność.

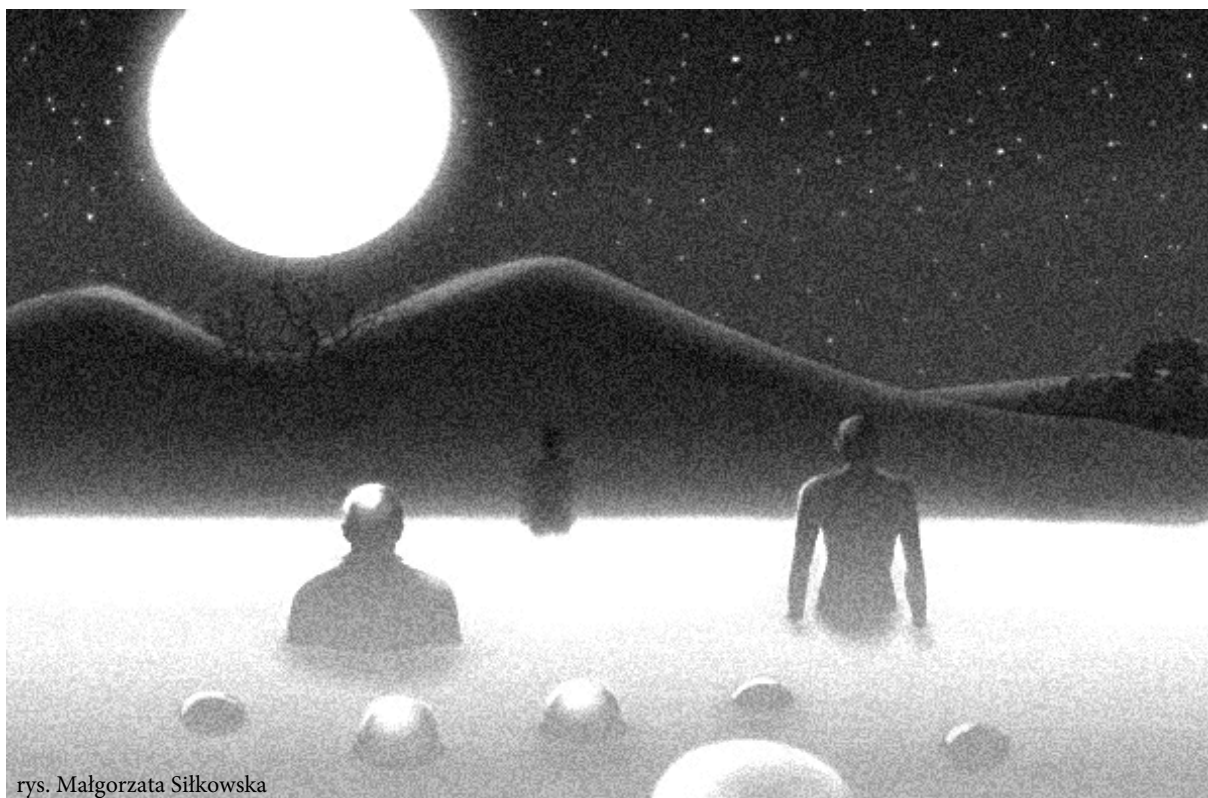
Gdyby miał dziewczynkę, ten problem przestałby istnieć. Wszystkie ciała byłyby genetycznie zgodne.

Nagle z wizji wyrwał Jacka znajomy ból w kroczu. Przybierał na sile, ale nie stopniowo, jak dotąd. Jacek odczuwał go jako jeden gwałtowny spazm, po którym już nie słabł. Intensywniejszy niż kiedykolwiek. Bąbel w łonie napęczał w przyspieszonym tempie i pękł z mokrym plaśnięciem. Gardło chłopaka rozdarł wrzask nieopisanej agonii. Ten sam, który słyszał tej nocy, gdy zniknęły szczyty.

Chwilę później nastąpił szok i udręka zelżała do uporczywego pulsowania. Ale to nie był koniec. Jacek poczuł, że wiotczeje w miarę, jak coś z niego wyłania. Zobaczył twarz.

Swoją. Obdartą ze skóry.

Sobowtór szczyrzył się z trudną do odgadnięcia miną. Zmarszczone brwi sugerowały wściekłość, a zęby – złośliwy, tryumfalny uśmiech. Wpatrywał się w Jacka rozpalonym wzrokiem. Powoli podniósł rękę i zacisnął dłoń. To był gest. Skierowany do niego. Środkowy palec.



rys. Małgorzata Siłkowska

KWIATY GAWĘDZĄCE O ŚMIERCI

Marek Trusiewicz

Trzydzieści lat...

Trzydzieści pieprzonych lat tułam się po ziemi, tłumiąc pytania i zagubienie, które krąży gdzieś blisko – próbuje przez jedno z okien wskoczyć do mojego wnętrza. Wiem, że większości wystarczy kariera, dzieci bądź jedno i drugie, by wypełnić codzienność obowiązkami. Jesteśmy tylko zaprogramowanymi na reprodukcję zwierzętami. Po kilkudziesięciu latach monotonnej pracy, wyjazdów na wakacje i produkowania potomków wskoczymy w nieistnienie, tak samo, jak miliony ludzi przed nami. Przeszkadza ci to?

Telepiesz portkami na myśl o tym, że wrócisz do stanu sprzed narodzin? Nie możesz wyrzucić z głowy policzka pokrytego pleśnią i robaków wyjadających ci oczy? Zastanawiasz się, czy warto dzisiaj iść na siłownię, skoro ostatecznie skończysz jako gnijąca kupa mięsa? Szukasz pewników? Rozwiązanie na ów lęk homo sapiens znaleźli dawno temu. Biegnij do kościoła, uklęknij i przeżegnaj się, a z czasem wszystko wróci do normy. Modlitwa odda cię bezpiecznej, usystematyzowanej codzienności.

Niestety, w moim przypadku wyżej wymienione wyjście nie wchodzi w grę.

Minąłem dwudziesty rok życia, gdy zdałem sobie sprawę, że większość nie lubi poruszać tematów egzystencjalnych lub traktuje je jako umysłową gimnastykę. Skoro nie istnieje sposób, by znaleźć odpowiedzi na kluczowe pytania dotyczące naszego pochodzenia, celu i tego, co dzieje się ze świadomością po śmierci, to po kiego grzyba drążyć temat?

Racjonalna osoba pewnie zadałaby sobie to pytanie, rozszerzyła usta w uśmiechu i wróciła do codziennych sprawunków. Niestety, nie należałem do osób racjonalnych i nigdy się nie poddawałem. Pewnie dzięki tej ostatniej cesze zaszedłem tak daleko w hierarchii kościoła kapitalizmu. Jeżeli obrałem cel, nie interesowały mnie przeciwności, jakie wyrosną po drodze do jego osiągnięcia, czy liczba lat, jaka będzie musiała minąć, nim go osiągnę. Mam sporo wad. Nie lubię wielu rzeczy w swej psychice, lecz upór i ciężka praca nigdy nie były mi obce. Pewnie zastanawiacie się, jaki wpływ podobne podejście ma na etykę? Nie jestem kłamcą. Nie lubię też owijać w bawełnę, więc powiem wprost – zniszczyłem kilku ludzi. Ich kariery, pieniądze i kobiety trafił szlag. Byłem sprytniejszy i wytrwalszy. Jeden z facetów, którego żona zostawiła po tym, jak ogłosił bankructwo, popełnił samobójstwo. Właśnie stoję w miejscu, z którego wskoczył do wody. Zimno jeziora Głębi pewnie przyjęło go jak matczyne ramiona. Pisali o tym w gazetach. Osierocił trójkę dzieci. Biedny pieprzony grubas ma już spokój, tymczasem ja szarpię się i zadręczam. Może powinienem pójść w jego ślady i sprawdzić, jak wygląda dno jeziora? W końcu jestem tylko kilkudziesięcioma kilogramami mięsa; zlepkiem komórek... układem kostnym, który unosi ciężką od pytań głowę.

– Gdzie jesteś? Miałeś być w domu trzy godziny temu!

Zapadła noc. Wciąż siedziałem nad brzegiem jeziora, lecz przesunąłem się o jakieś trzysta metrów na zachód, gdzie nie docierał cyklopi blask lamp. Chciałem spokoju i wyciszenia. Nie byłoby ono możliwe w poprzednim miejscu, ponieważ straż miejska

regularnie zajeżdżała w okolice mola, by szukać łatwego zarobku na mieszkańcach pijących piwo i palących trawkę. Chyba nigdy nie zrozumieć, dlaczego w Perun jeszcze istnieje jednostka tych upierdliwych kretynów.

– Kto ci powiedział, że miałem być w domu trzy godziny temu? – zapytałem, przymykając oczy. By usłyszeć cokolwiek po przesz szum wiatru, mocno przyciskałem telefon do ucha.

– Nikt mi nie powiedział. Byłam u ciebie i nikogo nie zastałam.

– Ach tak – rzekłem i uśmiechnąłem się półgębkiem. W prawym kącie ust tkwił papieros. Palilem go na przemian z wiatrem. – Zapomniałem, że byliśmy umówieni. Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko powiedz, czy coś się stało.

Głos miała poważny, ale zniknęło z niego to rozdrażnienie, które jeszcze chwilę temu słyszałem. Ciszyłem się z tego faktu, bo nie miałem ochoty na kłótnie. Poza tym ceniłem sobie Marysię. Nie należałem do najlepszych partnerów pod słońcem, ale na swój pokraczny sposób ją kochałem i ostatniego czego pragnąłem, to to, by się martwiła.

– Nic się nie stało. Myślałem, że mamy się jutro spotkać. Ostatnio jestem cholernie rozkojarzony.

Trafiłem w punkt. Cisza najpierw trwała pięć sekund, a później przedłużyła się do dwudziestu. *Nad czym tak dumasz, kochanie?*, wpadło mi do głowy. *Czyżbyś bała się, o coś zapytać? Może nie wiesz, jak ów pytanie sformułować? Masz zbyt dobre serce. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak ja.*

– Nie chcę być wścibska. Po prostu interesuję się, o której wracasz. Interesuje mnie, jak się czujesz i czy w pracy wszystko w porządku. Nie jesteśmy ze sobą nawet rok, ale się przywiązałam...

– Chyba nie myślisz, że mam romans?

– ...i coś mi podpowiada, że wpadłeś w kłopoty. Słyszę wiatr w słuchawce, więc wiem, że jesteś na zewnątrz. Temperatura spadła poniżej zera. Słońce zaszło trzy godziny wcześniej, więc co takiego robisz poza domem? Nie chcę i nie należę do tych świrów, którzy kontrolują każdy krok partnera, ale mam dobrą intuicję. Ona... Właśnie ona mi wrzeszczy do ucha, budzi w środku nocy i nie daje spać. Dlatego sypnij mi w oczy prawdę. Jesteśmy dorośli, więc nie widzę powodu, byś miał mnie oszczędzać.

– Gdzie ja cię znalazłem, kochanie? Niegdyś sądziłem, że podobni ludzie istnieją tylko na kartach książek.

– Olaf, nie zmieniaj tematu.

– Okej, odpowiem ci, ale najpierw ty mi powiedz: myślisz, że mam kochankę?

Odpowiedź była natychmiastowa.

– Nie. Jesteś dobrym człowiekiem. Skończyłbyś jeden związek i dopiero wtedy wskoczył w następny.

Żar dotarł do filtra, więc wypłułem go na kamienie i zgmiotłem czubkiem buta. – Nie sądziłem, że masz o mnie tak dobre zdanie. – Wziąłem głęboki oddech, zebrałem myśli i dodałem: – Ostatnio dopadły mnie pytania, od których uciekałem całe życie. Nie mają one nic wspólnego z naszym związkiem, dlatego nic nie mówiłem. Siedzę nad brzegiem jeziora przytłoczony tym, co siedzi mi w głowie. Próbuję złapać pion, poukładać graty na strychu. Nic specjalnego. Totalna nuda. Zero kochanek, przemytu narkotyków czy bijatyk rodem z „Podziemnego Kręgu”. Tylko nudna szorstkość egzystencji.

– Rozumiem, że nie chcesz ze mną pogadać o tych pytaniach? Może porozmawiaj z Romkiem albo idź do psychologa?

– Nie chcę zrzucić na ciebie tego typu ciężaru. Romek ma swoje problemy. Bynajmniej nie dotyczą one czegoś niewidzialnego, a rozwodu i podziału majątku z „żoną-głupią-suką-czarownicą”, jak zwykł ją ostatnio nazywać. Nie będę zawracał mu głowy.

– Mhm, masz rację. A ze mną, dlaczego nie porozmawiasz?

Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie, dlatego zadarłem głowę i spojrzałem w gwiazdy. Nagle usłyszałem głos: *Jesteś martwym światłem – tak samo, jak one. Nic cię nie uratuje. Nie powinieneś być też zdziwiony swoją kondycją psychiczną. Od małego zaglądałeś przez poprzecierane miejsca w rzeczywistości; widziałeś przedziwne rzeczy, lecz świadomie ograniczałeś własne umiejętności i omijałeś największe z pytań. Trwałeś tak w skorupie przez trzydzieści lat. Wypełniłeś obowiązek wobec rodziców: zdobyłeś sporo pieniędzy i dobrą pracę. Wypełniłeś obowiązek wobec samotności: znalazłeś kogoś, kto posiada nie tylko rozum, ale i serce. Myślałeś, że masz wszystko. Teraz tylko dbać o zdrowie, płodzić dzieci i zbierać na emeryturę. Niestety, zza horyzontu nadeszły chmury burzowe. I choć bardzo chciałbyś się ich pozbyć, nie masz na to sposobu.*

– Nigdy nie chciałem mieć dzieci... – wyszeptałem zapatrzony w chybotliwe światło jednej z gwiazd.

– Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach. Skąd to nagle wytrzasnąłeś, Olaf?

– Przepraszam, ale na chwilę gdzieś odpłynąłem. Masz rację: powinienem porozmawiać z tobą o tych dręczących pytaniach. Na pewno zrobię to przy najbliższej okazji. Teraz muszę uciekać. Kocham cię mocno!

Słyszałem, że Marysia coś mówi, ale nie miałem siły... po prostu byłem zbyt roztrzęsiony, by dalej ciągnąć rozmowę.

Nacisnąłem czerwoną słuchawkę i przeniosłem wzrok nad wodę. Księżyc zerknął przez lukę w chmurach. Położył blade światło na tafli jeziora i wystające z niej głowy. Setki głów. Tysiące głów. Wszystkie wpatrzone we mnie oczami lśniącymi szkarłatem. Prawie jak w kiepskim horrorze zza oceanu. Brakuje tylko głównej bohaterki o idealnych rysach, która ratowałaby świat i jednocześnie propagowała feminizm i poprawność polityczną.

Oddaliłem się kilka kilometrów od jeziora. Zaplątany w trzewia miasta, brnąłem poprzez ulice skąpane w pomarańczowym świetle. Cisza łamała mi kark, a fasady kamienic obserwowały każdy krok. Była środa. Dochodziła dwudziesta druga. Domyślałem się, że większość ludzi jest zajęta szykowaniem ubrań na jutrzejszy dzień, kąpielą i ucieczką w stan miniśmierci, inaczej zwanej snem. Skacz i wrzeszcz, ile tylko chcesz, ale od codzienności nie uciekniesz. Stawaj jej wyzwania – pokaż środkowy palec, wystaw język, lecz nic tym nie zyskasz. Pewnych fundamentów istnienia nie zmieni żaden, nawet najbardziej wpływowy ksiądz czy polityk.

– Ze swoim bólem jesteś sam na sam. Tak samo, jak ze swymi wątpliwościami i w końcu ze śmiercią.

Wypowiedziałem powyższe słowa na głos, by dodać sobie otuchy, przypomnieć, że wciąż żyję. Nie zabrały mnie istoty z jeziora. Nie potracił samochód. Płuca młóć powietrze, serce pompuje krew, a głowa zapętla przerażające melodie, jakby mściła się za coś, co zrobiłem w przeszłości. Wciąż też słyszałem szept martwych ust. Trupie inkantacje, których nie rozumiałem. Czy były prawdziwe? Może to tylko wybujała wyobraźnia? Jak cienka jest linia między chorobą psychiczną a zdolnością do zagładania na drugą stronę? I czym niby ta druga strona jest? Patrzeć na nią z chrześcijańskiego czy świeckiego punktu widzenia?

Uderzyłem się pięścią w czoło. Najpierw raz, potem drugi i trzeci. Wkładałem w ciosy sporo siły. Miałem nadzieję, że popłynie krew, a wraz z nią wyciekną głupoty, które nie dają mi spokojnie żyć.

Schodząc z górki na ulicę Beksinińskiego, poczułem uderzenie wiatru. Odrobinę się zdziwiłem, ponieważ zawierucha ucichła dobre dwie godziny wcześniej. Wraz ze sobą przyniosła śmiechy – kilkusekundowe wybuchy radości. Dawno nie byłem w tej części

miasta. Przed sobą miałem ścianę czerni, z której od czasu do czasu wylawiałem kontury drzew. Sama myśl, iż miałbym wejść do nieoświetlonego parku, sprawiła, że moje dłonie zaczęły się pocić.

Postanowiłem wrócić do domu.

Wrzuciłem papierosa do ust. Przyłożyłem do niego płomień zapalniczki i już miałem postawić pierwszy krok, gdy usłyszałem strzępy pieśni i coś, co przypominało trzask płonących polan. Czyżby ktoś w środku tygodnia, dodatkowo w taką pogodę, urządził sobie ognisko? Jaja sobie robicie?

Nadszedł impuls – potężne wyładowanie elektryczne. Bez jednej myśli w głowie przebiegłem przez ulicę. Runąłem w mrok. Prawie tak samo, jak grubasek, któremu sprzed nosa sprzątnąłem umowę na budowę autostrady. Widziałem sporo topielców. Mogę tylko przypuszczać, jak makabrycznie wyglądał, gdy nurkowie znaleźli jego rozdęte, blade ciało. Potrafiłem wyobrazić sobie nawet wychodzące z orbit oczy wielkości piłek do tenisa, mówiące: *Nie macie się czego bać! Chodźcie do mnie! Zobaczycie – spodoba się wam po drugiej stronie! Tutaj nikt nigdy się nie nudzi!*

Parłem przez mrok. Zwinne dłonie pamięci przeglądały kartoteki wspomnień. Wiedziałem, czego szukały. Pragnęły utrudnić przeprawę przez park. Kilka razy o mało nie wyrzynałem w drzewo. Krzaki podrapały mi policzek, ale to za mało! Trzeba jeszcze bardziej uprzykrzyć życie temu skurwysynowi! Niech przypomni sobie dzieciństwo i rozrzucone ciało ośmioklasisty, który próbował przeskoczyć motorem nad torami. Zamiast tego zamienił się w krwawe puzzle. Trzymałem w dłoniach jego głowę... Jego pieprzona, pogruchotana czaszka w dotyku przypominała worek pełen małych elementów. Coś pulsowało w jej wnętrzu. Wiem, że to niemożliwe, ale pamiętam, jak nastolatek patrzył na mnie jednym pozostałym okiem, a jego usta powtarzały: *Potworem... jesteś... potworem....*

Pamiętam też jedną z rąk, wciąż zaciśniętą na rączce motoru. Milicja zebrała gówniarza do koszyka, po czym wsypała do worka. Później pogrzeb, dużo płaczu, dużo żądnych (w końcu taka śmierć to nie lada atrakcja) makabry ludzi i zamknięta trumna.

– Urodził się, dorastał i marzył tylko po to, by skończyć w ten sposób.

Przystanąłem, by złapać oddech. Otaczała mnie cisza. Księżyc kolejny raz wychynął zza chmur. Wyłonił z ciemności dziesiątki bezlistnych drzew. Teraz wisiały na nich setki ciał. Słyszałem jęk powrozu. Czerwone ślepie obserwowały mnie, jakbym był winnych śmierci ich wszystkich; jakby w moich kompetencjach leżało stworzenie świata opartego na ciągłym pożeraniu; jakbym należał do wieczności, która decyduje, kto ma umrzeć w męczarniach,

a kto odejść we śnie. Czasem odnoszę wrażenie, jakby jedni ludzie cierpieli każdej chwili każdego dnia, by inni – szczęśliwsi – mogli prowadzić swoje spokojne, zaślepione życia świętych krów. Pewnie to tylko kolejna próba usystematyzowania chaosu egzystencji, lecz nic nie mogę poradzić na to, jakimi ścieżkami podążają moje myśli.

Telefon za wibrował w kieszeni dżinsów. Osadził rzeczywistość na fundamentach.

Ruszyłem w stronę głosów w tym samym momencie, w którym księżyc kolejny raz uciekł za chmury. Nie wiedziałem, czy wisielcy są prawdziwi. Nie zamierzałem zaprzętać sobie tym głowy, ponieważ w oddali dostrzegłem chybotał światło.

Wiedziałem już, że znalazłem miejsce, do którego chciałem dotrzeć. Pytanie tylko, co mnie do niego przyciąga? Czyżbym od małego miał przypisaną jakąś rolę, tak samo jak ten biedny dzieciak na motorze? Czy istnieje los gorszy od śmierci?

Nie wiem dlaczego, ale przypomniła mi się pierwsza noc spędzona z Marysią. Mrok – żywe stworzenie – napierał na okno. Pragnął najpierw wlać się do mieszkania, a następnie do mojej głowy. Deszcz siekł nieprzerwanie od pięciu godzin. Ze swojego schronienia obserwowałem ludzi; przygarbione, niemal haczące nosem o chodnik, jednostki. Wracający ze szkoły i pracy przykładni obywatele – dręczone chorobami i lękiem, przygniecione monotonią egzystencji trybiki kapitalistycznej maszyny. W jednej chwili doskonale ich rozumiałem, lecz w drugiej ulatywali z mojej głowy.

Nie ma tak odmóżdżającego narkotyku, jak miłość. Ktoś odpowiedzialny za projekt jednostki ludzkiej dobrze wiedział, iż będzie ona zbyt sprytna, by świadomie pakować się w obowiązki rodziny i wychowania dzieci. Dlatego też czujemy tak silne przyciąganie do drugiego człowieka, dlatego każdy dzień samotności ciąży nam na piersi jak głaz, a wizja zakochania się odsuwa na bok nawet największe problemy. – Jesteśmy pajacami na niciach – stwierdziłem, przeskakując kamienny murek, w który chwilę wcześniej przypadkiem kopnąłem. – Stanowimy rozrywkę kogoś znudzonego wiecznością.

Mogę świadomie krytykować miłość; rozkładać ją na części pierwsze, lecz gdy tamtego dnia siedziałem na kanapie z wtuloną w siebie Marysią, wsłuchany w jej miarowy oddech i bicie serca, wiedziałem, że nie będę szczęśliwszy. Nie istnieje rozkosz przewyższająca bezpieczeństwo i ciepło, jakie daje nam druga osoba. Innymi słowy: wiem, że jestem zmanipulowany przez naturę. Z braku lepszego wyjścia to akceptuję. Poza tym... istnieją

środki antykoncepcyjne, więc przy odrobinie ostrożności nie wciągnę w tę rzeczywistość kolejnego nieszczęśnika.

W tej części parku musiały niegdyś znajdować się budynki, ponieważ otaczały mnie ściany pokryte graffiti i kamienie najeżone prętami zbrojeniowymi. Kolejny raz usłyszałem strzępy słów. W niebo strzeliła garść iskieł. Jeszcze kilka metrów i dotrę na miejsce. Oczami wyobraźni zobaczyłem, jak wychodzę zza węgła, patrzę, a tam dwóch meneli krzyżuje ręce i nawzajem robi sobie dobrze. Mimo napięcia na twarz wypłynął mi uśmiech. Zaciśnąłem zęby, by nie ryknąć śmiechem.

Wcześniej też wymyśliłem kłamstwo, które rzucę pod nogi ludziom zebranych przy płomieniach. Coś o zabłądzeniu w ciemności i podążaniu za odgłosami zabawy. W najgorszym razie zabiorą mi portfel, dadzą w zęby i pożegnają kopniakiem w tyłek. Mam jednak nadzieję, że nie dojdzie do niczego podobnego, ponieważ będę musiał opowiedzieć o tym Marysi, a nie chcę jej jeszcze bardziej martwić.

Nim wychylnąłem zza rogu, moje zmysły zarejestrowały kilka rzeczy jednocześnie: telefon odezwał się drzeniem, syrena pociągu strzaskała nocną ciszę, a wiatr wbił się między ściany poniemieckich budowli i zaświszczał niczym duchy w filmach sprzed lat.

Ledwo to wszystko zauważyłem – tak bardzo zaskoczył mnie widok trzech kobiet, które stały przy ognisku. Nago. Wyschłe piersi, fałdy obwisłej skóry i wystające spod niej granatowe żyły. Wiedziałem, że nasze ciała z jędrnych dość szybko ulegają transformacji w makabrę i groteskę. Miałem dziadków i pamiętam, jak męczyli się pod koniec życia, ponieważ wszystkie podzespoły stopniowo odmawiały posłuszeństwa. To tutaj jednak było czymś innym. Zrozumiałem to od razu, ponieważ nieznajome – mimo odpychającej aparycji – cechowała czujność i szybkość, jakiej nigdy wcześniej nie widziałem u osób w podeszłym wieku.

– Olaf Dumicz! – powiedziała stojąca z prawej najwyższa z nieznajomych i klasnęła w dłonie.

– Nasz oprawca! – dodała druga z uśmiechem.

– Ale nas kopnął zaszczyt, siostry! – zakończyła trzecia i splunęła do ogniska, które zabarwiło się na purpurowo i wystrzeliło w niebo burzą iskieł. – Podejdź bliżej. Już jadłyśmy, więc cię nie pogryziemy. Może.

Zachichotały niczym nastolatki. Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować. W końcu miałem przed sobą trzy wielkonose, czerwonowłose kopie czarownic z tanich filmów grozy. Przez całe życie dostrzegałem rzeczy, których nie widzieli inni ludzie, lecz pierwszy raz stałem twarzą w twarz z czymś tak wyraźnym, jak te trzy postacie.

– Czego ode mnie chcecie? – Patrzcie jak mu śpieszno! – Widać, że biznesmen!

– Widać, że nie ma duszy!

Słuchałem, jak wyrzucają z siebie słowa. Chciałem je ponaglić, by przeszły do sedna, lecz zrezygnowałem, gdy zaczęły płaszać wokół ogniska. Towarzyszyło temu mlaskanie obwisłych ciał. Mimo ssania w żołądku targnęły mną wymioty.

– Wiem, że nie jestem najprzyjemniejszym z ludzi. Nie należę też do optymistów i naiwniaków, ale żeby od razu mówić, że nie mam duszy? Wstydziłabyś się, siostro.

– Nie ma wiedzy.

– Nie zna przyszłości.

– Jednak i tak wypełnia go pewność... Ty naprawdę jesteś trupem.

Podszedłem go ogniska i wystawiłem przed siebie zmarznięte dłonie. Następnie zapytałem:

– Żarty żartami, ale może powiedziałybyście wprost, czego ode mnie chcecie? Nie znam nawet waszych imion.

Stojąca naprzeciw kobieta o bujnych, przyprószonych siwizną włosach łonowych, spojrzała mi prosto w oczy i rzekła matowym głosem:

– Wpadacie do tego świata o wiele za często. Nie jesteście tu mile widziani.

– Kim, według ciebie, jestem? – zapytałem, przykładając dłoń do spodni w miejscu, gdzie znajdowała się kieszeń, a w niej wciąż wibrujący telefon. – Jesteś jednym z zawieszonych.

– Jesteś śmiercią.

– Jesteś mrokiem. Dlatego widzisz nie tylko nas, ale wszystkie okropności, które konsekwentnie wyparłeś z własnej świadomości.

– Jestem bogiem, niszczycielem światów! – krzyknąłem i ryknąłem śmiechem. – W życiu nie słyszałem czegoś równie kretyńskiego.

– Uważaj na słowa, skrytobójco – syknęła najniższa z siostr, wystawiając czarny język.

– Grozisz mi? Pierdol się!

Najwyższa z kobiet (wyglądająca na najrozsądniejszą) podniosła dłoń. W końcu, gdy zapanowała cisza, otworzyła usta i rzekła: – Nie jesteś bogiem. Nie urodziłeś się też z duszą... Należysz do innego świata. Jesteś istotą otchłani. Może znudziła cię wieczność?

– To dlatego czasem odgaduję schorzenia współpracowników? Dlatego kątem oka dostrzegam wychylające się z ciemności twarze o czerwonych ślepiach? – Wszystkie siostry jednocześnie skinęły głowami. – Skoro ustaliliśmy, że jestem pomiotem jakiegoś innego, dziwnego świata, wracamy do kluczowego pytania: czego ode mnie chcecie?

Staruszki odsunęły się od ogniska. Jednej pociekła z sutka krew. W pierwszej chwili tego nie zauważyła, a w następnej włożyła go do ust i zaczęła łapczywie ssać. Najniższa obserwowała mnie z obrzydzeniem wypisanym na twarzy. W dłoni trzymała sztylet zdobiony w dziwne, przypominające cyrylicę, znaki. Ta, którą nazwałem „najrozsądniejszą”, spojrzała w niebo i kolejny raz zabrała głos:

– Jesteśmy sercem Perun. Zarządzamy tymi terenami od czasów, gdy nie znajdowała się tu nawet jedna chata, a tylko ogniska odzianych w skóry prymitywów. Twoja obecność destabilizuje Stare Miasto. Nie możemy i nie będziemy tego tolerować.

– Perun jest zaprzeczeniem stabilizacji. Nie ma w nim nic specjalnego. Poza tym mieszkam tu od dziesięciu lat. Trzeba wcześniej wprosić się na kawę i powiedzieć, że nie mam duszy. Nie wiem, jakbym na to zareagował, ale na pewno byłbym w lepszym stanie psychicznym niż obecnie. – Ludzie to dla was zabawki.

– Wieczny w ciele człowieka...

– Prowadzisz niebezpieczną grę...

– Bełkotem nic nie zdziałacie. Wracam do domu.

Przestąpiłem krok w stronę drogi, gdy usłyszałem: –Twoja kobieta... Ona jest w ciąży.

– Skądże! Powiedziałyby mi!– Musimy się jej pozbyć – rzuciła najniższa z sióstr. Następnie przyłożyła sztylet do policzka. Płomienie padały na jego powierzchnię, przybierały kolor purpury. – Dziewczyna nie wie, co nosi pod sercem. – Zostawcie Marysię w spokoju! – krzyknąłem. – Ona nie ma z tym nic wspólnego! – Kłamca! – krzyknęła najniższa. Już wcześniej widziałem, że będą z nią kłopoty. Nie znoszę porywczych jednostek, które wpadają w gniew z byle powodu i popełniają jedną głupotę za drugą. – Durny samiec!

Z niewiarygodną szybkością podniosła dłoń dzierżącą sztylet i zaatakowała. Nie miałem czasu na przetworzenie informacji, a co dopiero na zareagowanie. Zdołałem tylko otworzyć usta i wydać z siebie jęk.

Sztylet utkwiał po rękojeść w splocie słonecznym najwyższej z sióstr. Ciemna, gęsta krew bryznęła do ogniska. Rozległ się syk. Od najmłodszych lat gdzieś obok mnie kroczyła makabra. Śniłem o śmierci najbliższych, by po przebudzeniu dostać informację, iż umarli naprawdę, unikałem dwóch wypadków drogowych, ponieważ intuicja nakazała mi wykonać gwałtowny manewr kierownicą. Nie było takiego lata, którego nie natknąłbym się na grupę nurków, wyciągających topielca z wód żwirowni. Jakby kompas śmierci kierował mnie w miejsca, gdzie jest jej najwięcej, jakby mówił...

Jesteś martwym światłem – tułaczem melancholii. Każdy twój krok zabiera na drugą stronę kolejnego człowieka, z każdym uderzeniem twojego serca ktoś przedawkowuje leki, zarzuca na szyję powróż, wchodzi do wanny i rozcina nadgarstki. Ludzie wychowani w wierze chrześcijańskiej nazwaliby cię diabłem, lecz nie mieliby racji. Homo sapiens nie rozumie tego, co czeka po drugiej stronie. Jego zmysły są zbyt ograniczone, umysł – zbyt usystematyzowany. Zbyt dużo czasu myśli o codzienności, a zapomina o najważniejszym z pytań – z jakiego powodu w ogóle pojawili się na świecie?

Wiele razy słyszałem ów głos w głowie. Nie raz zadawałem mu pytania. Próbowałem rozpocząć dyskusję. Miałem nadzieję, że wewnątrz odkryje przede mną miejsce, z którego czerpie wiedzę. Niestety, nic takiego się nie stało.

Teraz nie miałem czasu na introwertyczne wygibasy, ponieważ najniższa ze staruszek mocniej zacisnęła palce na rękojeści sztyletu i pociągnęła go w dół. Usłyszałem trzask kości i mlaśnięcie rozpruwanej skóry. Kolejny raz zebrało mi się na wymioty, ale bez większych problemów nad nimi zapanowałem. – Co ty, kurwa, robisz!? – krzyknąłem. Może powinienem uciec? Może pomóc? Tylko... czy można pomóc komuś, kto z uśmiechem na ustach pozwala rozplątać się jak świnie przed świętami? – Przestań!

Rozplątana kobieta złapała krawędzie swej skóry i rozszerzyła je niczym ekshibicjonista poły płaszcza. Wnętrza chlusnęły na trawę. Wiło się w nich coś dużego, coś, co przypominało połączenie pomrowa wielkiego i pytona. Kilkometrowy kształt w kolorze atramentu pokrywały dziesiątki otworów lśniących na czerwono. Potrzebowałem kilku sekund, by zrozumieć, że to oczy. Grubością istota porównywalna była do jednego z tych wielkich węży, które widziałem we wrocławskim ZOO. – Rozmowa dobiegła końca – powiedziała ta z sióstr, która przez cały ten czas stała kilka metrów dalej i spokojnie obserwowała zajście. – Odwiedzę twoją dziewczynę. Upewnię się, że nie nosi w łonie potomka skrytobójcy. – Ostrzegam cię: zostaw Marysię w spokoju. Inaczej zdobędziecie poważnego wroga. Sprowadziłem na dno gorszych od was popaprańców.

– Dokładnie się przyjrzałyśmy.
– Prześwieciliśmy od stóp do głów.
– Nie rozumiesz, kim jesteś. Możemy bezkarnie wygnać się z tego ciała. I to też zrobimy! – Że co...

Moje słowa zagłuszyła porcja wnętrzości, która wpadała do paleniska. Tym razem, zamiast je przytłumić, sprawiła, iż zabarwione wrzosem płomienie sięgnęły ponad stare mury. Pojawiła się też kolejna, węzopodobna, istota.

– Radziłabym ci – wypowiedziały trzy głosy jednocześnie – wziąć nogi za pas. Noc jest długa, a ciebie czekają zapasy ze śmiercią!

Szczerze przyznam – miałem ochotę najpierw odgryźć się słownie, a następnie kopnąć siostrunię w cyc. Nie zdążyłem jednak tego zrobić, ponieważ jeden z węży wyplątał się z parujących flaków i rzucił w moim kierunku. Jego ciało ulegało deformacjom, coś jak ewolucja w przyspieszonym tempie. Z pokrytej śluzem skóry wyrastały kończyny. Jama gębowa, wcześniej całkiem żalosna, teraz rozszerzała się ze zgrzytem kości i wypełniała falującymi, piszczącymi zębami. – Może tkwię w śnie i powinienem jeszcze raz przypieprzyć sobie pięścią w czoło?

To nie było konieczne. Chwilę później biegłem przez ciemność, a mięśnie wrzeszczące z bólu i gardło gwałcone lodowatym powietrzem jednoznacznie wskazywały, iż tkwię w starej, dobrej rzeczywistości. „Węże” wypadłe z wnętrza staruszki podążały za mną – z ich pysków, od czasu do czasu, wypływał psychotyczny chichot. Chude kończyny pozwalały rozwinąć im całkiem sporą prędkość, z czego nie byłem szczególnie zadowolony.

– Jak walczyć z czymś, co nie pochodzi z tego świata? – zastanawiałem się, siedząc w zagłębieniu terenu i zbierając siły. – Do tego Marysia... Jeżeli szybko nie wpadnę na jakiś pomysł, ona zginie.

Wiatr w końcu przegnał chmury. Nad głową miałem księżyc w pierwszej kwadrze i światło gwiazd. Nieboskłon zawsze powodował, iż czułem, w jak nieistotnym i maluczkim świecie żyję. Ileż warta jest ziemia pośród całej tej pustki? Nieokreślona liczba gwiazd i planet. Nieokreślona liczba galaktyk i czarnych dziur. Z punktu widzenia jednostki ludzkiej ogrom niezagospodarowanej przestrzeni, Istotom Wyższym wydać się może czymś śmiesznym, wysoce bezwartościowym. Dlaczego wybrałem to miejsce i to ciało, skoro należę

do innej formy... skoro należę do wieczności? Czyżbym pragnął spokoju? Zapomnienia? Czyżbym zapomniał, jak smakują ból, choroba, rozczarowanie i sama śmierć, dlatego wstąpiłem w to miękkie, podatne na zgubę ciało?

W odpowiedzi na wyżej postawione pytania dostałem chichot. Park tonął w blasku rzucanym przez wiernego satelitę ziemi. Drzewa poruszały się, gdy odwracałem od nich wzrok, tym razem z ich gałęzi nie zwisały ciała. Kątem oka spostrzegłem oczy lśniąco szkarłatem. Byłem młodym mężczyzną. Miałem krótki czas reakcji, lecz to nie wystarczyło. Paszcza potwora rozwarła się i zacisnęła na moim ramieniu. Ból – eksplozja białego światła. Nawet zimno przestało mi przeszkadzać. Krew przemoczyła koszulę, sweter i płaszcz. Kilka kropel musiało też paść na księżyc, ponieważ jego światło nie tylko przygasło, ale nabrało też rdzawego odcienia.

Stworzenie szarpało łbem z lewa na prawo. Wiedziałem, że zaraz zbiegną się jego bracia i skończą rozerwany na kawałki. Z otchłani powstałem i do otchłani wrócę. Nie ma w tym nic dziwnego. Najbardziej jednak żałuję, iż wciągnąłem w to Marysię. Nie podejrzewałem, iż moje pokiereszowane, wykolejone wnętrze może jej zaszkodzić. –

Wy. Pier. Da. Laj! – syknąłem przez zęby. Przy każdej sylabie uderzałem stworzenie pięścią w coś, co uważałem za głowę. Gdy to nie pomogło, wsadziłem palucha do jednego z wylupiastych oczu.

Szczęki najpierw lekko rozluźniły się, a następnie rozwarły. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu. Ruszyłem między drzewa. Nie znałem topografii parku. Adrenalina powodowała, iż mogłem pędzić przed siebie na wysokich obrotach przez dłuższy czas. Tylko rozsądek – ten, siedzący gdzieś wewnątrz nieśmiały głosik – podpowiadał, bym zwolnił, ponieważ prędzej czy później w coś uderzę i ułatwię polowanie wysłannikom sióstr.

Postanowiłem usłuchać. Już miałem wrzucić niższy bieg i rozluźnić pośladki, gdy wydarzyły się dwie rzeczy jednocześnie. Pierwszą był skowyt, który przeszył nocną ciszę. Najpierw jeden, a później drugi, trzeci i czwarty. Nie wiem, czy te stworzenia potrafią wyciągać wnioski i komunikować się ze sobą, lecz to bardzo możliwe. Drugą rzeczą była dziura, której w porę nie zauważyłem. Połknęła mnie ciemność. Słyszałem tylko pęd powietrza. Przed oczami miałem obraz swego ciała: wystających przez skórę kości i pękniętej czaszki. Nadchodzi koniec. Nie pomogę Marysi. Nie jestem tym, za kogo mają mnie siostry z piekła rodem. Niby nie mam duszy i ledwo czuję emocje, lecz właśnie w tej chwili tonę w wywołanej bezsilnością rozpacz.

Nigdy nie rozważałem samobójstwa, za to raz próbowałem je popełnić. Pędziłem przez karty kalendarza z klapami na oczach niczym koń z filmu Béla Tarra. Skończyłem studia i przez pierwsze dwa lata urabiałem sobie łokcie, by zdobyć wyższą pozycję – zwrócić uwagę szefostwa. Orka przez czternaście godzin dziennie, obiad z mikrofali, godzina gapienia się bezmyślnie w szklany cycek – gdzie najczęściej leciał film, który w dzieciństwie widziałem dwadzieścia pięć i pół raza, a na następnie sen: płytki, wypełniony koszmarami, sen. Najczęściej jego tematyką była śmierć kogoś bliskiego; nie zliczę, ile razy budziłem się z przekonaniem, iż rodzice zginęli w pożarze domu. W ciemności widziałem ich spalone, pozbawione powiek i ust twarze. Zgrzyt ocierających się o siebie zębów wbijał się w czaszkę i pulsował równie nieznosnie, co bolący ząb. Którejś niedzieli (to była jesień) wstałem i zacząłem wciągać na siebie ubranie. Znajdowałem się w pokoju wyłącznie ciałem. Świadomość nie istniała. Nie wiem, jak mógłbym to inaczej opisać. Najwyraźniej maraton złożony z pracy i ciężkich od melancholii myśli przepalił kilka bezpieczników, przez co wpadłem w swego rodzaju katatonię.

Dopiero gdy usłyszałem kolejną serię kościelnych dzwonów, dotarło do mnie, że nie idę dzisiaj do pracy. Mam wolne. Mogłem pospać dłużej, tymczasem wcisnąłem tyłek w spodnie od garnituru, wypolerowałem buty i z pustką w sercu przygotowywałem się na kolejne naście godzin piekła. Wtedy też coś wewnątrz najpierw uległo przesunięciu, a następnie pęknięciu. Niemal słyszałem trzask płynący gdzieś z niższych pokładów świadomości. Esencję trafił szlag. Usychałem. Przypominałem trupa z wciąż bijącym sercem. Bez słowa odszedłem od drzwi, ściągnąłem buty i ruszyłem do łazienki. Następnie wyciągnąłem sznurek ze szlafroka i kilka razy go pociągnąłem. Wyglądał wystarczająco solidnie, by utrzymać kilkadziesiąt kilogramów Olafa Dumicza.

Ze ściany w dużym pokoju wystawało kilka haków. Podejrzewam, iż poprzedni właściciele wieszali na nich kwiatki, obrazy lub inne bzdurki. Bez jednej myśli w głowie zrobiłem pętlę, zacisnąłem ją porządnie wokół szyi i oplotłem o kilka kawałków metalu. Nie czułem żalu dla lat, których nigdy nie przeżyję, nie roniłem łez za kobietą i dziećmi, których nigdy nie poznam. Powtarzalność tej rzeczywistości podziałała niczym wybielacz – wypłukała ze mnie wszelkie kolory i wartości. – Współczuję tym, którzy nadejdą po mnie – stwierdziłem, opuszczając się w stronę podłogi. Ucisk na gardło był coraz większy. – Czeka ich ten sam taniec oblędu, w którym uczestniczyłem od pierwszego dnia w szkole.

Wpełzałem w otchłań. Kończyny wystukiwały nierówny rytm, podczas gdy świat opanowywał ból. Wtedy umierałem we własnym mieszkaniu – teraz odchodzę w ponemieckiej studni, której skretyniali urzędnicy nie raczyli nawet oznaczyć. Wpadłem do środka wraz z przegniłymi deskami. Po drodze uderzyłem o wyłożoną kamieniami ścianę, która sprawiła, iż kość lewej ręki wyszła przez skórę. Zderzenie z dnem wykopu wydrążyło jeszcze kilka dodatkowych dziur w moim ciele. Blask księżyca lśnił na wystających kościach. Ledwo nadązałem przełykać krew. Pewnie niedługo utonę. Pomyśleć, że poświęciłem wszystkie te lata na walkę tylko po to, by skończyć w równie paskudny sposób.

– Dla... dlaczego... spotkał... mnie....t... taki... los? – zapytałem pokrytych mchem ścian, by ostatni raz rozgonić pustkę.

Nagle usłyszałem głos, który przez całe życie zakłócał moje wnętrze. Zawsze sądziłem, że to tylko czkawka podświadomości i nie ma sensu zaprzętać sobie głowy.

Mylilem się...

Wyglądasz zachwycająco! Tak właśnie kończy się nadmierna pewność siebie. Wystarczy odpuścić. Zrobić krok w tył. Przymknąć jadaczkę. Wtedy nigdy nie doszłoby do tej sytuacji. Wolaleś jednak zgrywać wszystkowiedzącego. Nie doceniłeś ludzi. Nie rozumiałeś, w jak ciężkiej i niesprawiedliwej rzeczywistości przyszło im żyć. Myślałeś, że sama obserwacja wystarczy, by pojąć, co kto myśli i czuje. Niestety, nawet my, jednostki wiecznie uwikłane w sprawy śmiertelników, nie jesteśmy w stanie zrozumieć, jakim cudem, mimo tylu okropności, wciąż stawiają kolejne kroki; jakim cudem po latach wojen, śmierci i chorób rozwijają się... śmiać twierdzić nawet, że są szczęśliwi!

– Pierdol... się?

Kocham twoją arogancję, choć jest ona czasem cholernie irytująca. Powinieneś okazać nieco wdzięczności. W końcu to ja przed laty odciąłem zaciśnięty wokół twojej szyi sznurek od szlafroka. Nie chciałem, żebyś odszedł tak wcześnie. Nie taką mieliśmy umowę.

– J... jaką umowę?

Usłyszałem szmer. Gdzieś z lewej strony. Wiedziałem, że nie powinienem, lecz ciekawość była silniejsza. Przekręciłem głowę w tamtym kierunku. Eksplozja bólu mało nie pozbawiła mnie przytomności.

I jak ci się podobam? Znamy się od zawsze, a jednak patrzysz na mnie, jakbym był kimś zupełnie obcym. To była część zakładu: miałeś wskoczyć do tego świata pozbawiony wspomnień. Choć i tak zawsze ciągnęło cię do makabry. Jesteś dziedzicem bólu. Taką masz naturę, a – jak mawiają homo sapiens – z naturą nie wygrasz.

Miałem przed sobą mężczyznę koło pięćdziesiątki. Był wysoki i przygarbiony. Miał nienaturalnie długie ręce i nogi. Nosił ciuchy takie jak ludzie, których widziałem na fotografiach z dziewiętnastego wieku: luźne pantalone, surdut, kamizelkę i cylinder, który cudem utrzymywał się na podłużnej, niemal wyłysiałej głowie. W pomarszczonej twarzy tkwił zbyt szeroki uśmiech szalonego klauna i tłące się białym blaskiem oczy. – Kim... t... ty...

Na twarz opadła mi warstwa ziemi i garść piasku. Gdy spojrzałem w stronę wylotu studni, spostrzegłem stworzenia o czerwonych ślepiach. Tym razem z ich ust nie wydobył się żaden dźwięk. Czyżby napawały się widokiem ofiary, nim zeskoczą nad dno i wypełnią dane przez siostrunie polecenie?

Że też ze wszystkich miast w Polsce wybrałeś akurat wybrać Perun... Niech cię szlag, Olaf. Mało miejsc na świecie posiada równie cienką powłokę oddzielającą rzeczywistości. Jakbyś, mimo nowego ciała, nie wyzbył się intuicji i pragnął osiąść w pełnej popieprzonych rzeczy aglomeracji. Miło byłoby popatrzeć, jak zjadają cię te marne imitacje otchłani, ale nie mogę na to pozwolić! Chcę raz na zawsze dać ci nauczkę; chcę, byś raz a dobrze zrozumiał naszą rolę w ludzkim życiu. A by do tego doszło, musisz sięgnąć starości. – Pierdol...

Już miałem dokończyć, gdy czerwonoookie stworzenia ruszyły. W jednej chwili trwały nieruchomo niczym utkane z nocy posągi, a w następnej leciały wprost na mnie. Ich paszcze rozwarły się. Piszące, długie na pięć centymetrów zęby wciąż wiły się w ich dziąsłach. Nigdy wcześniej nie uroniłem jednej łzy, lecz teraz spływały one bokami mojej głowy – wsiąkały we włosy. Nie zależało mi na życiu, nie obchodziło mnie też, kim jest facet w cylindrze. Przed oczami miałem jedną z sióstr i jej obrzydliwą łapę, zaciskającą się na szyi Marysi. Nieświadomie zesłałem śmierć na osobę, którą najbardziej pragnąłem chronić. Dlaczego ta rzeczywistość przypomina złodzieja próbującego za wszelką cenę wyszarpać ci nie tylko resztki serca, ale też wszelkie – zdobyte z takim trudem – radości?

Nieznajomy w cylindrze tylko rzucił okiem w stronę atakujących stworzeń. To wystarczyło, by najpierw zawisły w powietrzu, a następnie skończyły w strzępach. Tym razem na twarz opadły mi kawałki wnętrza i krew. Miałem ochotę uderzać piętami

w ziemię i krzyczeć, jak rozwyrzone dziecko, lecz połamane kości wstrzymywały każdy ruch.

Już drugi raz ratuję ci tyłek... Znając życie, pewnie jeszcze zdarzy się sytuacja, w której zmuszony będę interweniować. Trudno. Jeżeli taka jest cena za to, byś dotarł do starości i przegrał zakład – zapłacę ją bez mrugnięcia okiem. Gdy już skończysz wakacje w tym lunaparku melancholii i wrócisz do domu, będziesz zmuszony nie tylko zmienić zdanie na temat ludzi, ale też przyznać... pierwszy raz w tej wieczności... przyznać, że nie miałeś racji. Nawet przeprosić!

Jak się pośpieszysz, to może nawet zdążysz uratować tą, która wypełnia ci myśli. Powodzenia, bracie! Będziesz go potrzebował!

Pierwszym, co zarejestrowałem, był chlupot wody. Gdy przyłożyłem dłoń do twarzy, nie poczułem zupełnie nic, jakby niska temperatura znieczuliła zakończenia nerwów. Otworzywszy oczy, spostrzegłem opadające z wolna płatki śniegu. Nie wiedzieć dlaczego, gdzieś w środku zakwitła pozytywna emocja, mała, szybko wypalająca się, iskierka pośród wiecznej ciemności.

Leżałem przy linii wody. Tuż obok kamieni, na których wcześniej rozmyślałem. Zasnąłem? Może straciłem przytomność z powodu głodu czy wyziębienia? Jakim cudem nie zamarzę na śmierć? I dlaczego, do jasnej cholery, tak ciężko mi zebrać myśli?

Nagle usłyszałem echo wewnątrz czaszki:

Jak się pośpieszysz, to może nawet zdążysz uratować tą, która wypełnia ci myśli.

Serce szarpnęło się w klatce piersiowej, moszna skurczyła, a dłonie wpadły drzenie. Nieskalana jedną wątpliwością determinacja zastąpiła krew w żyłach. Wraz z nią powróciły wspomnienia trzech sióstr i ich zamiarów dotyczących Marysi. Wiem, że w tym świecie nie można liczyć na równowagę czy litość. Zdaję sobie również sprawę, iż większość ścieżek, za którymi podążamy, to tylko nadzieja, naiwność i chorobliwe pragnienie odwrócenia uwagi od pustki. Szukałem stałego punktu pośród rozszalałego morza egzystencji. Potrzebowałem miesięcy, by zrozumieć, iż w moim w przypadku występuje on pod postacią drobnej brunetki z pieprzykiem w dołku nadobojczykowym.

Marysia stanowi główny wątek reszty mojego życia. Skoro rzeczywistość gra kartami przemijania i rozkładu, ja wyłożę na stół wspólną przyszłość, rodzinę i walkę o każdy kolejny

dzień. Myślę... nie, jestem pewny, iż jeden punkt pozwoli przeciwstawić się ścianie czerni. Ratunek stanowi coś, co nie tylko pomaga wstać z łóżka, też lecz także pokazać, ile mocy mieści się w jednym, w większości złożonym z wody, ciele!

Biegając przez miasto, niosłem ze sobą głos twierdzący, że z Marysią wszystko w porządku. Pewnie zdziwi się, gdy zadzwonię i powiem, że stoję na dole. Nie wyglądałem też najpiękniej. Leniwie padający śnieg obsiadł mnie niczym stado os, moczył włosy, spływał po czole wprost na brwi – wsiąkał w płaszcz.

Lekka mgła rozmyła neony i światło lamp. Za większością okien panował mrok. Wyobraziłem sobie leżący pod kołdrą kształt; przekraczające się z boku na bok zwierzę, które sen zabrał do krainy, gdzie nie trzeba płacić rachunków, nie istnieją szef-choleryk z żyłą pulsującą na czole i kredyt wzięty na trzydzieści lat. W krainie nigdy-nigdy nie istnieją choroby, nikt nie martwi się nowotworami, wrzodami żołądka i cukrzycą. Tylko tyle wytchnienia podarowały ludziom istoty, z którymi najwyraźniej mam wiele wspólnego.

– Czy całe to zamieszanie... wypełniona rzezią historia gatunku jest tylko urozmaicheniem wieczności? Odmianą reality show dla Istot Wyższych?

Odpowiedziała mi cisza. Tej nocy Perun było martwe tak, jak nigdy wcześniej. Żywi skryli się w domach, ponieważ z samego rana mieli do przejścia labirynt obowiązków. Zastąpiły ich widma. Od czasu do czasu widziałem szkarłatne ślepie rozganiające mrok. Miasto Mgły obserwowało oczami tych, którzy nie mieli już żadnych zobowiązań. Utkane z mroku i wspomnień widma przesuwali się w ciemności. Słyszałem je w alejkach i podwórkach. Tysiące istot otchłani przybyło w tę część wieczności, by obserwować ostatni akt zmagania kogoś, kto wskoczył do świata, którego w ogóle nie pojmował. – Czasem warto przymknąć jadaczkę. Zwłaszcza gdy chcemy zabrać głos w sprawie, o której nie mamy pojęcia.

Minąłem niski budynek, gdzie emeryci spędzali całe dnie i obstawiali mecze i skoki narciarskie, i wbiegłem przed blok, w którym mieszkała Marysia. Głos zapewniający, że wszystko w porządku, podkuł ogon i rozwił się niczym dym na wietrze. Drzwi prowadzące na klatkę schodową przypominały kartkę papieru zgniecioną w dłoni. Ręce siostruni bez problemu objąłbym kciukiem i palcem środkowym. Nie spodziewałem się, że w ich starych kościach drzemie tyle siły.

Nagle przypomniały mi się słowa jednej z nich:

Jesteśmy sercem Perun. Zarządzamy tymi terenami od czasów, gdy nie znajdowała się tu nawet jedna chata, a tylko ogniska odzianych w skóry prymitywów. – Skoro przeżyły tak długo w tym nieprzyjaznym, brutalnym świecie – kalkulowałem, przeskakując po dwa stopnie. – Muszą być nie tylko sprytne, ale też mieć wyjątkowe zdolności.

Dotarłem na szóste piętro, gdzie mieściło się mieszkanie mojej ukochanej. Te drzwi również były wyłamane – leżały z boku w dwóch kawałkach. Nie miałem pojęcia, dlaczego nikt nie wezwał policji, dlaczego nikt nie zareagował na hałas? Nie wierzę, by starucha w czerwonych włosach zachowywała ciszę. W jej oczach ludzie byli zapewne tylko głupcami, którzy marnują krótki, podarowany przez naturę czas na krwawe wojenki i wykonywanie bezcelowych projektów. Czyżby użyła swych zdolności i Marysia nie mogła liczyć na pomoc postronnych?

To nie byłoby takie dziwne...– Zostaliśmy tylko we dwójkę. Niczego innego nie powinienem oczekiwać.

Przestąpiłem próg mieszkania. Już miałem je przeszukać, gdy usłyszałem krzyk. Dochodził gdzieś z wyższych pięter. Bez chwili zwłoki zacisnąłem spoconą dłoń na poręczu i ponowiłem wspinaczkę.

Gdy docierałem do półpięter, zerkąłem przez okno. W dole zostawiłem wierzchołki drzew i cyklopie oblicza lamp. Nie mogłem dostrzec też żadnej z gwiazd. Byłem sam na sam z echem kroków i bombardującymi miasto płatkami śniegu. *To nie jest najgorsza noc, by odejść*, pomyślałem. W śmierci oczywiście nie chodzi o komfort, czy estetykę. Czarna kurtyna opada bez względu na pogodę, czy zachcianki. Jedynym pewnikiem jest gnienie. Rozumiem, dlaczego ludzie się go tak obawiają. Z jednej strony jest rozpacz nad własnym ciałem – robaki pożrą świątynię, o którą dbałem przez tyle lat. Nie pozostanie po niej nawet ślad. Czas zetrze nie tylko kości, ale też jakąkolwiek pamięć o moim istnieniu. Mogę skakać, machać rękami, kochać czy wszczynać wojny – końcem końców trafię do kartoteki zapomnienia, a po mnie przyjdą następni i równie młodzi i spragnieni splendoru naiwniacy.

Z drugiej strony chodzi o precyzyjność. To ona nacina nam psychikę – pozostawia setki ran, które wyjątkowo obficie krwawią w bezsenne noce. Popatrz na własną dłoń. Dotknij własnej stopy. Weź głęboki oddech, przygryź język. Stracisz to wszystko. Nie istnieje cień szansy, że zachowasz choć jedną rzecz z okresu istnienia na ziemi. Ego buntuje się – wrodzona megalomania, nadzieja i upór wmawiają nam największe bzdury, byśmy nie zaakceptowali, iż odejdziemy do tego samego miejsca, w którym byliśmy przed urodzeniem.

– Dla was nicość, a dla mnie wieczność – stwierdziłem, dotarłszy do wychodzącego na dach okna. Nikt nie wyrwał go z zawiasów. Nie zbił nawet szyby. – I gdzie tu sprawiedliwość? – Zostaw mnie!

Na dźwięk głosu Marysi poczułem błyskawicę przesuwającą po kręgosłupie.

Podszedłem do okna. Wgramoliłem się na dach. Panorama miasta i światła biegnące wzdłuż jeziora powalały. Mieszkam w Perun niemal od dziesięciu lat, jednak byłem tak zapracowany, iż nawet nie zauważyłem, w jak pięknym miejscu przyszło mi żyć.

– Najwyraźniej można przejść przez istnienie jako ślepiec i nawet nie zdać sobie z tego sprawy.

– Dobrze prawisz, skrytobójco.

Spojrzałem w prawo. Spostrzegłem kobietę z parku. Wysoki, przygarbiony worek kości, który dawno powinien leżeć w ziemi. Jedną z dłoni miała wyciągniętą nad głowę. Ścisłała w niej twarz Marysi. Nic nie wskazywało na to, by była przytomna. – Zostaw ją i odejdz. Nie musisz tego robić. Ona nie jest w ciąży i nic nikomu nie zawiniła. Obiecuję, że wyniesiemy się z miasta, jak to najszybciej możliwe. Nawet jutro.

Siostrunia wpatrywała we mnie dłuższą chwilę. Z jej twarzy nie mogłem wyczytać żadnych emocji. – Wieczny prosi mnie o darowanie życia człowiekowi!? Przeżyłam tysiące lat... nigdy jednak nie zgadłabym, iż dojdzie do takiej sytuacji – stwierdziła, kręcąc głową. W jej głosie nie było radości czy pychy. Tylko zdziwienie. – To wątle ciało totalnie tobą zawładnęło. Łudzisz się, że wspólne lata z tą samicą wypełnią pustkę, którą nosisz wewnątrz? Jeszcze nie zrozumiałeś, że to ty jesteś pustką? Ty odpowiadasz za ból, choroby i śmierć! Jesteś losem człowieka złamanego! Przegranego! Jesteś bożkiem samobójców i psychopatów! Nie istnieją słowa, które byłyby w stanie opisać miejsce, z którego pochodzisz.

Przetarłem dłonią twarz i sięgnąłem do kieszeni po papierosa. Na szczęście wiatr pałętał się gdzie indziej i bez problemu udało mi się jednego odpalić. Nigdy wcześniej nie byłem tak zdenerwowany. Nigdy wcześniej na nikim mi tak nie zależało. – R... rozumiem, co mówisz. Ale ona nie ma z tym nic wspólnego. Po cholerę zabijać człowieka, skoro jest dla ciebie niczym? Odejdz w swoją stronę, a ja pójdę w swoją!

Starucha cmoknęła i uśmiechnęła się półgębkiem. – Masz rację. Tak byłoby najrozsądniej. Tylko widzisz... ja nie jestem tą z sióstr, która kieruje się rozsądkiem. Poza tym jestem pewna, że nigdy nie będę już miała okazji nabruździć Wiecznemu.

Wystrzeliłem do przodu z zaciśniętymi pięściami. Miałem ochotę okładać jej twarz, aż zdarłbym skórę z kostek i utonął we krwi. Niestety, byłem zbyt wolny. Siostrunia zacisnęła

palce, którymi podtrzymywała Marysię. Jej głowa pękła niczym melon. Towarzyszył temu dźwięk łamanej na kolanie deski.

– No i co teraz, skrytobójco? – zapytała kobieta, odrzuciwszy ciało mojej ukochanej jak zepsutą zabawkę. Wokół palców miała zaplątane jej włosy. – Jak podobają ci się ludzkie uczucia? Wiesz, że skazałeś miliony ludzi na podobny los? Wiesz, że czerpałeś z tego przyjemność?

Padłem na kolana. Coś wewnątrz najpierw zadrżało, a sekundę później rozsypało się na kawałki. Lśniące w mroku diamenty wnętrza. Papieros wypadł mi z ust. Nie widziałem, co się dzieje. Czyżbym umierał?

– Jak stałeś przy ognisku, ona do ciebie dzwoniła. Martwiła się o swojego przystojnego, dobrze zarabiającego mężczyznę. – Siostrunia podeszła bliżej i złapała mnie za włosy. – Umrzesz. Potem wrócisz do swojego świata, by przez resztę wieczności grać w szachy żywymi pionkami. Ona zniknęła i już nie wróci... Może kiedyś zobaczysz ją jako widmo? Może Wieczni jednak mają sumienie i poczucie winy będzie kasać cię przez wieczność? To dopiero byłoby coś!

Ledwo ją słyszałem przez wewnętrzny sztorm. Przed oczami miałem pierwszy pocałunek z Marysią. Czułem jej zapach. Czułem się bezpieczny w jej ramionach. Ciężar zniknął, gdy była blisko. Jak miałbym żyć przez następne lata, niosąc w głowie jej twarz, słysząc jej głos, widząc w snach piękno, które pragnęło spędzić ze mną wszystkie pozostałe dni? Mówią, że czas leczy rany, lecz co wtedy, gdy my jesteśmy raną? Co wtedy, gdy nie ma już czego ratować, gdy każdy dzień przypomina czarno-biały film, a każdy zakątek mózgu wyśpiewuje trupią pieśń? – Co wtedy, gdy nawet kwiaty gawędzą o śmierci?

Podniosłem głowę. Siostrunia zniknęła. Dookoła był tylko płynący w stronę ziemi śnieg i elektryczny blask miasta. Ciszę przerywały pędzące na sygnale karetki. Czyżby w tę zimną noc ktoś wskakiwał w nieistnienie?

Pierwszy próby złapania pionu skończyły się porażką. Miałem zawroty głowy. Twarz pokrywała mi mieszanina łez i smarków. Ledwo czułem zimno. Kilka metrów dalej zwinięte leżało to, co zostało z kobiety, która była moją przyszłością. – Nie ma przyszłości – rzekłem, gdy w końcu udało mi się wstać. – Przyszłość to tylko kolejne złudzenie.

Na powrót włożyłem papierosa do ust i podszedłem do krawędzi dachu. Spojrzałem w dół. Dziesięć pięter niżej znajdował się parking. Samochody drzemały spokojnie pod warstwą świeżego puchu. Na myśl o tym, że zaraz będę na dole, poczułem przypływ radości. Nie takiej zdrowej radości, lecz czegoś skrajnie autodestrukcyjnego – siły napędzanej gniewem, rozpaczą i wszystkimi innymi emocjami, na które skazywałem przez miliony lat ludzkość.

– Pieprzyć. To. Wszystko.

Wystawiłem nogę za krawędź dachu i przechyliłem się do przodu. Powinienem spaść, lecz podtrzymała mnie niewidzialna dłoń, którą poczułem na klatce piersiowej. Usłyszałem głos:

Jesteś żalosny. Co z naszym zakładem?

– Pierdolę...

Tak, tak: pierdolisz zakład i całe życie w ogóle, bo słowiański bożek zabił ci potencjalną kandydatkę na żonę. Czy to naprawdę powód, by skakać z dachu?

Szarpnąłem się raz, drugi i trzeci. Głos wciąż coś mówił. Nie zamierzałem go słuchać. Czas na rozmowy dobiegł końca. Pozostało tylko działanie.

Nawet jako człowiek jesteś nieznośnie uparty!

Włożyłem całą się, jaka we mnie została, by odepchnąć się od krawędzi dachu. Nie sądziłem, że cokolwiek tym wskóram, lecz musiałem spróbować.

Ledwo zdałem sobie sprawę, że spadam, a już byłem na dole. Nie wiem, na jaki samochód spadłem, ale ból szybko się skończył.

Nadeszła ciemność.

Koniec

rys. Roman Panasiuk



LAMENT

Bartłomiej Fitas

Mogłoby się wydawać, że czerń jest barwą idealnie oddającą ponury i jednocześnie niesamowicie piękny nastrój nocy, lecz uważny obserwator śmiało stwierdzi, że to nie czerń nadaje owej porze całego uroku. Są bowiem barwy, które znacznie silniej oddziałują na postrzeganie apatycznego piękna, wprowadzają w melancholię i skłaniają do przemyśleń nad światem i ulotnością ludzkiego losu. Nocne niebo wcale nie jest czarne. Przypisywanie tego koloru jest wręcz ordynarnym pójściem na skróty i próbą uniknięcia poznania prawdy oraz tego, co z pozoru na zawsze pozostanie osnute czymś na kształt misternie utkanego z nici tajemnicy całunu.

Tej nocy niebo przybrało kolor przywodzący na myśl rozlany w zacienionym miejscu atrament. Księżyc świecił tak jasno, że nie dało się na niego spojrzeć bez przymrużenia oczu. Jego blask miał na tyle mocne natężenie, że liczące eony kraterzy były praktycznie niewidoczne, przez co owe ciało niebieskie sprawiało wrażenie nieskazitelnie gładkiego, niczym niezmacona nawet przez najmniejszy podmuch wiatru tafla jeziora. Po niebie leniwie krążyły ciemne, postrzępione obłoki, co jakiś czas z mizernym skutkiem starające się przyćmić światłość księżyca.

Samotna kobieta podziwiała osobliwe uroki pogrążonego w nocnym mroku cmentarza. Jej długie blond włosy oraz niesamowicie biała, sięgająca bosych stóp suknia mocno kontrastowały z otoczeniem, przez co przypadkowy obserwator mógłby uznać ją za najprawdziwszego ducha i ze strachu paść trupem.

Heva oderwała wzrok od zapierającego dech w piersiach widoku i skupiła się na otaczającej ją okolicy. Cmentarz spowity był nieprzeniknącą ciszą, w której wprawne ucho mogłoby usłyszeć nawet szepty zmarłych, o ile ci w rzeczywistości porozumiewaliby się.

Cisza.

Piękno płynące z braku jakichkolwiek dźwięków uspokajało kobietę do tego stopnia, iż cmentarz był dla niej domem, w którym miała całkowity spokój i niezliczone godziny, które spędzała na przemyśleniach. Dopiero nadejście świtu zmuszało ją do powrotu do wioski. Heva nienawidziła ludzi, ich zwyczajów i „ładu”, jaki sobie wykreowali. Cały czas do czegoś dążyli, nawet nie zastanawiając się nad tym, kim są i jaka jest ich rola na tym dziwnym świecie. Niezależnie od wzrostu, siły, płci, a w końcu od statusu społecznego ludzkie życie sprowadzało się do jednego – śmierci. Wszyscy, czy to dobrzy, czy źli, kończyli w miejscu, które Heva tak kochała. Jaki był zatem sens tego wszystkiego? Po co się starać, dążyć do realizacji zamierzonych celów, a z każdego dnia wyciskać możliwie jak najwięcej? Wszystkie te starania pójdą do piachu razem z martwym ciałem, aby na wieki stać się częścią cichego cmentarza.

Nad tą kwestią kobieta zastanawiała się każdej spędzonej na cmentarzu nocy i do tej pory nie mogła znaleźć odpowiedzi. Może owe zagadnienie było jedną z wielu tajemnic, których nigdy nie będzie dane poznać prostemu i ulotnemu człowiekowi?

Heva podziwiała wiekowe nagrobki. Najstarsze z nich liczyły sobie kilkaset lat, leżące pod nimi ciała z pewnością już dawno obróciły się w proch – ostatnią pozostałość po całym życiu człowieka i jego dobrych lub złych uczynkach. Misternie wykute w kamieniach litery

i cyfry ukazywały zapomniane przez świat imiona oraz daty będące mikroskopijnym przedziałem dziejów Ziemi. Przy tak znikomych liczbach nie było na świecie siły, która sprawiłaby, że ludzkie czyny mogą coś znaczyć.

Ruszyła cmentarną alejką. Wydeptane przez setki stóp kamienie lśniły w blasku księżyca, choć znaczną część alejki pokrywały usychające w ciszy liście – kolejny przejaw przemijania życia. Wiosną wszystko się rodzi, trwa przez krótkie lato, aby po nim opaść na zmarzniętą ziemię i tam poddać się niemiłosiernej śmierci. Co prawda proces ten był znacznie szybszy niż w przypadku życia człowieka i mogłoby się wydawać, że nie można tu mówić o żadnym porównaniu, lecz czuła dusza Hevy nie widziała w tym żadnych różnic. Po prostu u człowieka ów cykl trwał kilkadziesiąt lat dłużej, a zamiast na ziemi jego ciało gniło pod jej powierzchnią w sękiej sosnowej skrzyni.

Szelest liści pod jej bosymi stopami był jedynym odgłosem, który nieznacznie zakłócał cmentarną ciszę. Mimo wszystko kobieta starała się stąpać jak najdelikatniej, aby... no właśnie. Aby co?

Na to pytanie również nie знаła odpowiedzi. Nikomu tu bowiem nie przeszkadzała. O tej porze żaden człowiek nie odważyłby się przyjść na cmentarz, a zmarli byli tylko zmarłymi.

To dlaczego obawiasz się zakłócenia ciszy?

To pytanie także pojawiało się w jej głowie co noc. Czy na pewno uważała zmarłych za puste skorupy, których zadaniem jest powolne gnicie ku uciesze wszelkich robaków, które w ten sposób mogą żyć w dobrobycie? A może śmierć miała w swej tajemniczości jakiś pierwiastek, który sprawiał, że zamiast bezsensownego końca była czymś nowym, czymś, co tak naprawdę jest jakimś początkiem? Może to wszystko, co ludzie mówili o Bogu, jest prawdą?

Heva pokręciła głową. Jej długie blond włosy zafalowały, by zaraz powrócić do poprzedniego ułożenia. Nie lubiła myśleć o Bogu, zwłaszcza że wiedziała o czymś, o czym z pewnością nie miał pojęcia żaden mieszkaniec położonej nieopodal wioski. Była pewna, że podobnie jest z ludźmi mieszkającymi w innych wioskach, a także mniejszych lub większych miastach. Nim zobaczyła ów osobliwy spektakl po raz pierwszy, minęło dość dużo czasu. Wierzyła w to, że cmentarz krył to przed nią w tajemnicy, lecz w pewnym momencie postanowił się podzielić z nią czymś niezwykle pięknym i przerażającym jednocześnie. Za pierwszym razem miała ochotę rozedrzeć się na cały głos i wybiec z cmentarza. Najpewniej

zrobiłaby to, gdyby nie fakt, że cicha nekropolia miała tylko jedną bramę, która na domiar złego w tamtym momencie była zablokowana.

Jej uszu dobiegł odległy odgłos dzwonów. Miejscowy kościół miał swój niesamowity urok, choć jego sakralny wydźwięk w jakiś sposób odtrącał Hevę. Mimo wszystko roznosząca się po okolicy muzyka dzwonów była czymś niesamowitym, choć pełnię jej uroku dało się poczuć jedynie na cmentarzu. Przystanęła na moment i zamknęła oczy. Napawała się zarówno ciszą nekropolii, jak i odległymi kościelnymi dzwonami. Delikatny, chłodny wiatr, subtelnie musnął jej twarz, sprawiając jeszcze większą przyjemność. Wzięła głęboki oddech, ciesząc się martwym zapachem mokrej ziemi i gnijących liści. Jesień zdecydowanie stanowiła jej ukochaną porę roku.

Heva ocknęła się z chwilowego zamroczenia i ruszyła w dalszą wędrówkę po cmentarzu. Nieco przyspieszyła kroku, lecz nadal starała się stąpać możliwie jak najciszej. Wszystko wskazywało na to, że tej nocy po raz kolejny ujrzy piękny obraz, choć jego urok okupiony był potokami łez, jakie musiała wylać rodzina tej biednej dziewczyny. Nie chciała się jednak spóźnić, gdyż to, co dla jednych było czymś smutnym, u niej powodowało eksplozję uczuć, których nie potrafiła określić znanymi sobie słowami – opisanie ich ludzką mową było bowiem porównywalne z niepowiedzeniem niczego.

Zabobonni ludzie, którzy tak bardzo bali się cmentarza nocą, nie wiedzieli, co dzieje się praktycznie pod ich nosami. Heva nie miała najmniejszego zamiaru uświadamiać ich o tym, gdyż miała świadomość tego, że nawet gdyby została wyśmiana, to w końcu znalazłaby się grupa śmiazków, którzy zaczęliby przychodzić tu co noc, aby przekonać się, czy jej opowieść jest prawdą, czy też stekiem bzdur nie do końca zdrowej na umyśle kobiety, za jaką była powszechnie postrzegana. Taki proceder zakłóciłby nieskazitelną harmonię, w której od wieków trwał ów piękny cmentarz. Niektóre rzeczy muszą pozostać niezmiennie. W tym przypadku, nikt poza Hevą nie powinien dowiedzieć się o tym, w jaki sposób wygląda „życie” na cmentarzu. Ogólnie przyjęty lęk przed zmarłymi mógłby spowodować wybuch paniki, której skutki zapewne okazałyby się dramatyczne.

W oddali dostrzegła lekko uchyloną bramę cmentarza. Nieopodal stał posąg przedstawiający anioła. Te mityczne, ściśle związane z religią istoty zawsze fascynowały Hevę. Mogłoby się wydawać, że młoda kobieta, która podważa wszelkie prawdy uznane przez ogół, powinna mieć równie sceptyczne podejście do istot anielskich, lecz tu następowała pewna rozbieżność. Anioły kojarzyły jej się ze spokojem – były czymś na kształt

kamiennych strażników dusz. Miały w sobie jakiś niesamowity pierwiastek, który sprawiał, że nawet Heva czuła przed nimi pewien respekt.

Zbliżyła się do wiekowego, milczącego posągu anioła. Surowe kamienne oblicze zdawało się karcić każdego, kto miał czelność na nie spojrzeć, lecz po wnikliwym przyjrzeniu się można było odnieść wrażenie, że wizerunek ma w sobie odrobinę ciepła i miłości. Wartości, które na ogół stanowiły dla Hevy przerost formy nad treścią, w tym przypadku wydawały się nader prawdziwe. Rzeźba czuwała nad cmentarzem od ponad dwustu lat, lecz jej wygląd wyraźnie wskazywał na to, że nieubłagane płynący czas zapomniał o jej istnieniu, przez co trwała w niemal niezmienionej formie. Kamień na pewno nieco zszarzał i miejscami pokrył się zielonkawym mchem, lecz poza tym nie dało się dostrzec żadnych pęknięć czy korozji. Cienkie witki roślin próbowały znaleźć zaczepienie w kamiennej albie, w jaką artysta odział ową postać, lecz pomnik nie chciał się poddać działaniu Matki Natury i roślinność ta trwała w niezmienionym stanie już od wielu lat.

Heva oderwała swe nieskazitelnie błękitne oczy od posągu anioła i ruszyła w kierunku bramy. Zbliżając się w stronę końca czyjegoś przeznaczenia, odziana w śnieżną biel, kobieta napawała się przyjemnym chłodem oraz spokojem nocy. Kochała to miejsce i czuła się z nim zżyta w jakiś niepojęty dla przeciętnego człowieka sposób. Niekiedy odnosiła wrażenie, że jest częścią cmentarza od momentu, w którym wykopano tu pierwszy grób, choć miało to miejsce kilkaset lat przed jej narodzinami.

Stała przed otwartą na oścież bramą. Z oddali usłyszała skrzypienie kół starego powozu, który już dawno powinien obrócić się w proch, lecz nadal był w pełni sprawny. Powóz, o którym mowa, należał do bytu, który określała mianem Przewodnika. Owa tajemnicza postać nigdy nie opuszczała swojego miejsca przy lejcach i Heva niewiele wiedziała na jej temat. Była jednak pewna, że Przewodnik wraz ze swoim osobliwym funeralnym powozem istnieje na świecie odkąd po raz pierwszy w rytualny sposób pochowano człowieka, miał trwać pomiędzy życiem a śmiercią aż do momentu, kiedy upadnie ostatnie ludzkie istnienie.

Jej uszu dobiegło pojedyncze parsknięcie. Odgłos ten jednak w żaden sposób nie był typowy dla zwykłego konia, wyraźnie dało się wychwycić w nim jakąś niepokojącą nutę, która wyraźnie wskazywała na niesamowitość owego zwierzęcego bytu. W gęstym mroku ujrzała czerwone ślepia i monsturalne sylwetki koni, których ciała zatrzymały się w zaawansowanym stadium rozkładu i takie miały pozostać aż do końca ludzkości.

Przeciętny człowiek na widok takich istot uciekałby z krzykiem, lecz Heva wiedziała, że nie grozi jej nic złego. Mogła w spokoju podziwiać ich z pozoru irracjonalne, lecz w rzeczywistości wręcz niewysłowione piękno. Czerwone ślepia koni tańczyły w mroku niczym pojedyncze płomyki, rzucając na śpiący świat nieco potwornego ciepła.

Wóz podjechał pod bramę. Przewodnik był odziany w coś na kształt habitu z obszernym kapturem, spod którego świeciły takie same oczy jak u wierzchowców. Schylił nieco głowę, co Heva, słusznie lub nie, uznawała za rodzaj powitania. Odpowiedziała mu takim samym skinieniem. Przewodnik bez wątplenia należał do najbardziej tajemniczych zjawisk na tym świecie. Kiedyś próbowała znaleźć jakieś informacje na jego temat, lecz w żadnej z ksiąg, które miała okazję przejrzeć, nie natrafiła nawet na najmniejszą wzmiankę o tym, aby taka istota kiedykolwiek istniała.

Drzwi powozu otworzyły się z niezdrowym skrzypieniem. Po chwili z ciemnego wnętrza wysiadła rachityczna kobieta, której skóra była tak biała, że zdawała się odbijać nienaturalnie ostre światło księżyca. Właśnie tak wyglądała dusza zmarłego człowieka na krótko po rozstaniu się z fizycznym ciałem.

Mogłoby się wydawać, że w chwilach takich jak ta Heva powinna zmienić swoje podejście do kwestii związanych z życiem pozagrobowym. Miała bowiem niezbity dowód na istnienie duszy, więc wszystko wskazywałoby na to, że życie człowieka ma jakiś głębszy sens. Z początku było tak rzeczywiście, lecz wraz z upływem czasu Heva zaczęła poznawać prawdę związaną z ostatnią wędrówką świadomości człowieka. Trochę jej zajęło pojęcie tego wszystkiego, lecz w końcu wyciągnęła odpowiednie wnioski i zrozumiała, że owa rachityczna sylwetka, która właśnie stanęła przed drzwiami powozu, jest tak naprawdę czymś na kształt odbicia człowieka, który nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, że zmarł. Chwila rozczarowania miała nadejść w momencie, gdy „dusza” stanie nad swoim grobem. Zazwyczaj wtedy resztką człowieka wpadała w rozpacz, pod wpływem której przestawała istnieć. Heva widziała to już tyle razy, że nie była w stanie uwierzyć, iż po czymś takim może być jeszcze jakieś życie.

Za kobietą wysiadł mężczyzna ubrany w tradycyjny na tę okoliczność strój – miał na sobie czarny dwuczęściowy garnitur oraz wysoki cylinder, który dodawał mu wzrostu. Skórzane buty, które miał na nogach, sprawiały wrażenie niebywale kosztownych. Mężczyzna był chudy, a na jego twarzy malował się wyraz stanowiący połączenie ogromnego

smutku, żalu oraz strachu przed tym, co dalej. Sądząc po jego wieku oraz tym, że zmarła kobieta wyglądała na dość młodą, prawdopodobnie byli świeżo upieczonym małżeństwem.

Już na pierwszy rzut oka scena rozgrywająca się przed oczami Hevy emanowała ogromnym tragizmem, lecz w rzeczywistości było jeszcze gorzej. O ile zmarła stanowiła element rzeczywisty, tak jej nieszczęśliwy mąż był jedynie iluzją, która świadczyła o tym, że niebawem w wiosce po raz kolejny zadzwonią pogrzebowe dzwony. W tej chwili zrozpaczony mężczyzna spał niespokojnym snem, w trakcie którego ulatywało z niego życie. Niebawem przepełniony bólem człowiek targnie się na swoje życie i którejś nocy Heva ujrzy go wysiadającego z powozu po raz ostatni.

Mężczyzna spróbował chwycić w objęcia swoją zmarłą żonę, lecz jego dłonie przeszły przez jej niematerialny kształt. Uszu Hevy dobiegł pojedynczy szloch zrozpaczonego człowieka. Takie momenty były smutne, lecz zdążyła już się do tego przyzwyczaić.

Małżeństwo, którego szczęście zostało przerwane w nagły i nieprzewidziany sposób, musiało się rozstać. Ostatni ślad żywej kobiety mimowolnie ruszył w stronę cmentarza. Woźnica odjechał, a samotny mężczyzna stał pod bramą cmentarza, po raz ostatni patrząc na osobę, która miała towarzyszyć mu aż do starczych lat. Moment ten trwał bardzo krótko, już po chwili sylwetka mężczyzny rozplynęła się w powietrzu.

Heva odsunęła się na bok, aby zmarła kobieta mogła przejść przez bramę. Podobnie jak czyniła zawsze, wyciągnęła do niej rękę. Irracjonalny byt spojrzał na nią z mieszaniną zdziwienia i zazdrości. Po części zmarła musiała zdawać sobie sprawę z tego, że Heva jest żywa. Mimo wszystko chwyciła jej dłoń. Przez dotyk Heva czuła ostatnie resztki człowieczeństwa, które właśnie ulatywały w eter. Nim dotrą do odpowiedniego grobu, jej towarzyszka jeszcze bardziej zmarnieje, aby w ostateczności rozpaść się w niebyt.

Odprowadzanie zmarłych wydawało się Hevie jednocześnie długie i uciążliwe, jak również krótkie i przyjemne. To połączenie wrażeń zawsze przyprawiało ją o zawroty głowy, choć mogłoby się wydawać, że skoro robiła to z własnej nieprzymuszonej woli, wszelkie negatywne następstwa powinny zejść na dalszy plan.

Heva nie miała pojęcia, dlaczego tak właściwie to robi. Kilka lat temu, zafascynowana obserwowaniem wędrowek zmarłych ku miejscom ich ostatecznego rozstania się ze światem, postanowiła podejść bliżej i tak to wszystko się zaczęło. Odczuwając mieszaninę strachu i fascynacji, wyciągnęła rękę do starszego mężczyzny i odprowadziła go do grobu. Od tamtej pory robiła to za każdym razem, gdy ktoś umierał. Możliwe, że była kimś podobnym do

Przewodnika; może zmarli potrzebowali opiekuna w trakcie swej ostatniej drogi – otuchy, która pozwoli im ze względny spokojem opuścić świat, z którego prawdopodobnie nie chcieli tak prędko schodzić. A może to wszystko było dziełem zwykłego przypadku – Heva nie chciała się nad tym rozwodzić.

Milcząca para kobiet pokonała główną alejkę i skręciła w jedną z bocznych drózek. Mijając pomnik anioła, Heva spojrzała w surowe oblicze i lekko się uśmiechnęła. Uważała, że anioł w jakiś sposób ją dostrzega i odbiera przekaz płynący z jej gestów. Oczywiście było to jej urojeniem, z którego doskonale zdawała sobie sprawę, lecz ta myśl nachodziła ją niemalże za każdym razem i tak już miało pozostać.

W tym miejscu mrok zdawał się tak gęsty, że pochłaniał wszelkie resztki światła. Tutaj nawet księżyc wydawał się bledszy, a osobliwy kolor nieba znacząco zbliżył się do czerni, co wprawiało w niepokój. Gdzieś tam świeciły się pojedyncze znicze, swoim blaskiem symbolizując pamięć, jaka pozostała po zmarłych wśród ich rodzin. Nie dało się jednak nie zauważyć, że w tej alejce owa pamięć była dość ulotna lub nie było jej wcale. Niewykluczone, że leżały tu osoby, których rodziny również pożegnały się z tym światem – w końcu na tym cmentarzu chowano ludzi z kilku różnych niewielkich miasteczek oraz wiosek.

W pewnym momencie Heva spojrzała na swoją milczącą towarzyszkę i zobaczyła, że jej kształt jest praktycznie przeźroczysty. Oznaczało to, że kres jej wędrówki jest już bardzo blisko.

Dotarli do odpowiedniego grobu. W tym miejscu Heva poczuła coś, z czym jeszcze nigdy nie miała do czynienia. W jej plecy wwierało się czyjeś spojrzenie. Poczuła wyraźny niepokój. Do tej pory na cmentarzu nie widziała żadnego żywego człowieka, nikt poza nią nie miał odwagi, aby zapuszczać się tu w środku nocy. Ludzie byli zbyt zabobonni, aby mieć dystans do opowieści na temat przeklętych dusz, które blakają się po cmentarzu, poszukując drogi powrotnej, której nigdy nie uda im się znaleźć.

Teraz jednak miała do czynienia z człowiekiem i była tego całkowicie pewna. Ponadto wiedziała, że jest to ktoś zupełnie obcy.

Powoli odwróciła się i skupiła wzrok na odległym punkcie, z którego wyczuwała ogromne zło. Przez jej kark przeszły nieprzyjemne ciarki, które przerzuciły się na kręgosłup i niczym trupie palce powędrowały w dół jej ciała. Tylko cudem udało jej się nie wrzasnąć.

W tym samym momencie ponownie odezwały się kościelne dzwony, na których dźwięk podskoczyła jak oparzona.

Dostrzegła postać, przy której mrok nocy sprawiał wrażenie cieplej i przyjemnej poświaty. Otworzyła z niedowierzaniem usta, lecz zaraz coś odwróciło jej uwagę. Na moment oderwała wzrok od tajemniczej postaci i spojrzała na milczącą towarzyszkę. Z doświadczenia Heva wiedziała, że owa kobieta powinna już przestać istnieć, w końcu dotarła do swojego grobu. Zamiast jednak udać się na wieczny spoczynek, bezceremonialnie usiadła na chłodnej kamiennej płycie i obserwowała ją spojrzeniem czarnych oczu o osobliwym, typowym dla zmarłych wyrazie. Wydarzyło się coś dziwnego i przeczucie wyraźnie mówiło Hevie, że powinna natychmiast opuścić cmentarz.

Ponownie spojrzała w miejsce, z którego jeszcze przed chwilą ktoś ją obserwował. Gęsta czerń ustąpiła miejsca promieniom księżyca, które oświeślały poruszające się gałęzie. W tej chwili nie czuć było nawet najłżejszego podmuchu wiatru, co tylko wskazywało na to, że zarośla zostały poruszone przez kogoś lub coś i z pewnością nie było to niewielkie zwierzę.

Nagle jej uszu dobiegła muzyka tak subtelna, że niemal niesłyszalna w cmentarnej ciszy. Długie nuty lekko wibrowały, jakby instrument lub muzyk na nim grający trząsł się z zimna, strachu lub starości.

Zwróciła głowę w kierunku, z którego płynęły słodkie, lecz jednocześnie przybijające w swej melancholii dźwięki. Ujrzała go siedzącego na niewielkim kamieniu nieopodal samotnie rosnącego kasztana. Muzyk był odzianym w ubranie i ciało, poźółkłym szkieletem. Budowa nóg, tułowia i rąk niczym nie różniła się od ludzkiej, lecz nienaturalnie długa, wygięta na kształt łabędziej szyja wyróżniała go na tle innych ludzi. Ponadto czaszka owego tworu miała nieregularny, spłaszczony u góry kształt. Wysunięta zuchwa i skośne oczodoły sprawiały wrażenie, jakby za życia tej istoty głowa została poddana ogromnemu obciążeniu, które ostatecznie nadało czaszce ów irrealny kształt.

Muzyk kiwał się w rytm dźwięków, które krzywy smyczek z włosiem pochodzenia ludzkiego tarł o stare, rdzewiejące struny. Sama wiolonczela również nie przypominała swego normalnego pierwowzoru, jej kształt był jakiś nieregularny. Zupełnie jakby złożono ją z dwóch instrumentów wykonanych inną ręką i o innych gabarytach. Wszelkie prawa logiki przemawiały za tym, że taki dziw nie ma najmniejszego prawa do wydawania jakichkolwiek dźwięków, lecz mimo wszystko muzyka nadal napływała do uszu szalejącej ze strachu Hevy.

Mimo wszystko pozostała na miejscu, obserwując ponury koncert czegoś, co kiedyś mogło być człowiekiem.

Takty melodii wprawiały ją w coraz bardziej ponury nastrój. Powinna była uciec, udać się do domu i w spokoju zasnąć w ciepłym łóżku, modląc się o to, by wyprzeć z pamięci osobliwy obraz grającego szkieletu. Coś jednak jej podpowiadało, że nie ma dokąd uciekać. W końcu cmentarz traktowała jak swój prawdziwy dom. Co jednak było tego powodem? Heva wyczuwała w tym drugie dno, lecz za nic w świecie nie mogła go pojąć.

Usytuowana na nienaturalnie długiej szyi, zdeformowana czaszka pochyliła się w czymś na kształt pełnego szacunku ukłonu. Muzyk za życia musiał być osobą o wielkiej kulturze osobistej, lecz w takim wydaniu owe maniere wcale nie wzbudzały podziwu, a wręcz przeciwnie – Heva odniosła silne wrażenie, że ukłon wcale nie wyraża szacunku, lecz coś na kształt współczucia. Czego jednak mogła jej współczuć tak osobliwa istota, dla której pobyt na ziemskim padole już dawno się zakończył?

Odwróciła się w stronę grobu, na którym nadal siedziała dusza niedawno zmarłej kobiety. Na jej przeźroczystym policzku dostrzegła samotną łzę, w której odbijała się blada poświata księżyca, tym samym upodabniając ją do drogocennego kryształu.

Wtedy wszystko zrozumiała i zawyla z niewysłowionej rozpacz. Heva wcale nie była żywym człowiekiem. To, w jaki sposób patrzyła na nią martwa kobieta, wcale nie wyrażało zazdrości, lecz głębokie współczucie. Ona wiedziała o tym, o czym Heva stale zapominała. W jednej chwili przypomniały jej się wszystkie te noce, kiedy zachowując pozory żywej istoty, błąkała się po cmentarzu, tak naprawdę szukając własnego grobu. Za każdym razem jej poszukiwania były bezowocne, ponieważ takowego nigdy nie było. Rozstała się z życiem w nader okrutny sposób – ten człowiek, który tak bardzo ją dzisiaj przeraził. Widmo zbrodniarza, który w końcu został stracony, a jego dusza skazana była na wieczną tułaczkę po ludzkim padole łez. Zabił ją, a ciało porzucił w lodowatym jeziorze, na którego dnie nadal leżały jej gołe kości. Heva nie miała domu.

Muzyka ucichła. Kobieta, którą Heva odprowadziła, wierzchem widmowej dłoni wytarła pojedynczą łzę, skinęła głową, po czym rozpadła się w niebyt. Jej dusza zaznała spokoju.

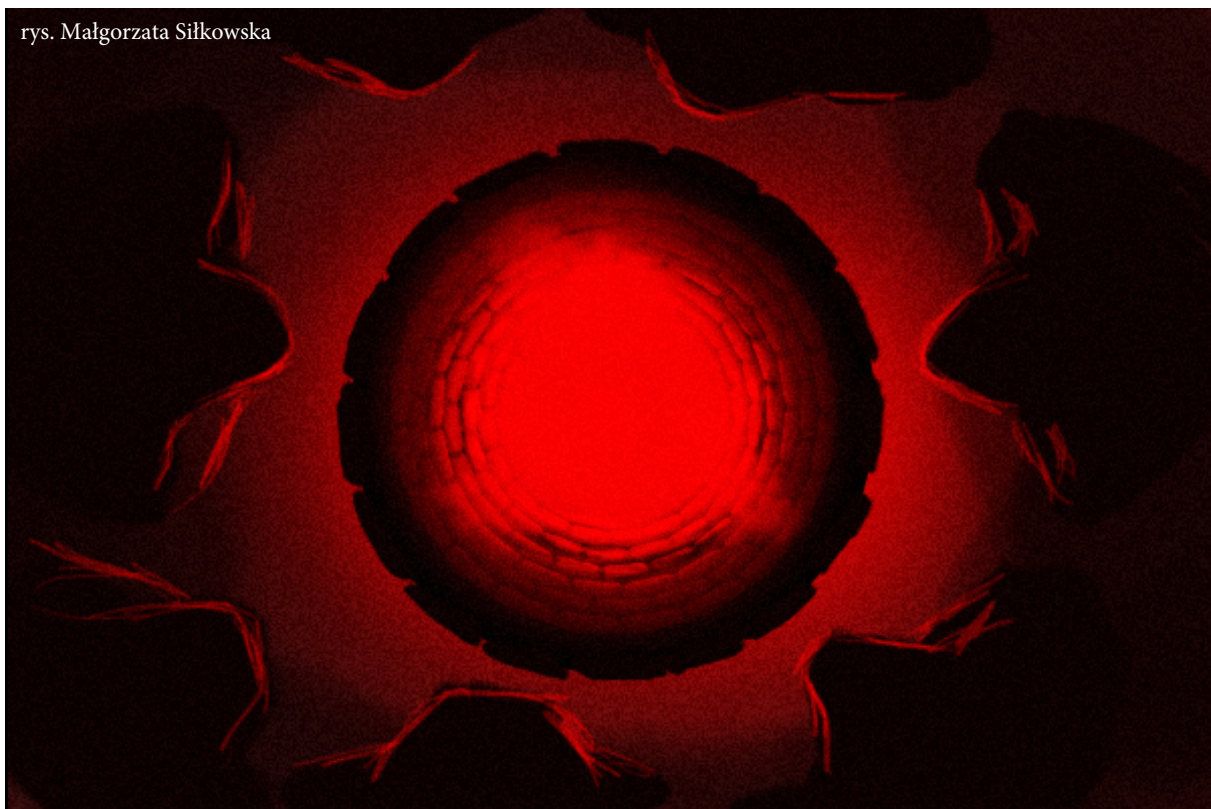
Heva stała w miejscu, trzęsąc się z rozpacz. Rozejrzawszy się, stwierdziła, że cmentarz jest teraz obcym miejscem, którego zupełnie nie zna.

Może pierwsza alejka po lewej stronie zaprowadzi ją do grobu? Może po jej przejściu należy skręcić w prawo, pokonać kilka metrów i wejść między kolejne nagrobki? Może w końcu znajdzie swój dom, uda jej się zaznać spokoju. Spełnić marzenie.

Otarła łzy i w tym momencie księżyc zniknął za granatową chmurą.

Heva ruszyła wzdłuż alejki, rozpoczynając kolejną turę poszukiwań. Nazajutrz nie będzie o nich pamiętała, wierząc w to, że jest żywym człowiekiem, choć od jej śmierci minęło już przeszło pół wieku.

rys. Małgorzata Silkowska



OFIAROWANIE

Ernest Smutalski

Drzwi do niewielkiego sklepiku otworzyły się nagle, wpuszczając do skromnego wnętrza smugi szarej, gęstej mgły, która spowijała ulice na zewnątrz. Gdyby nie dzwoneczek zawieszony nad drzwiami, siedząca za ladą stara czarna kobieta drzemałaby nadal w najlepsze. Dźwięk dzwonka wyrwał ją jednak z płytkiego snu i staruszka niemal podskoczyła na krześle. Szybkim ruchem zgarnęła leżące na ladzie okulary i założywszy je, przyjrzała się klientowi.

Do sklepiku wszedł wysoki, dobrze ubrany czarny mężczyzna. Długi, beżowy płaszcz leżał na nim idealnie. Pod płaszczem, pomimo psującego się wzroku, dostrzegła elegancki garnitur i czarny krawat. Mężczyzna zdjął kapelusz i ukloniwszy się, podszedł do niej.

Dopiero gdy znalazł się naprzeciwko niej, staruszka rozpoznała, kim był.

– Ach, to ty, Mukunga, kochany. Nie poznałam cię, wzrok nie ten co kiedyś niestety. A uwierz mi, jeszcze kilka lat temu potrafiłam sama, samiuteńka nawlec nitkę na ucho igielne! Starość, co poradzisz, starość.

Staruszka kontynuowała jeszcze przez chwilę swój monolog. Mukunga uśmiechał się tylko, wtrącając od czasu do czasu jakieś słówko. Faktycznie, strasznie się postarzała w ciągu tych kilku lat, pomyślał i od razu poczuł, jak na dnie żołądka zaczyna rodzić się w nim gniew.

– No, ale już dobrze, dobrze– dosyć o mnie. Młody jesteś, elegancki. Kto by chciał słuchać takiej staruchy.

Mukunga uśmiechnął się smutno.

– Dawno mnie nie było w okolicy. Działo się może coś ciekawego, słyszałaś o czymś?

Staruszka na nowo, z nieskrywaną radością, rozpoczęła kolejny monolog. Tym razem jednak Mukunga uważnie słuchał jej słów.

Od czasu tamtego niefortunnego wypadku musiał zniknąć z miasta. Na miejscu został tylko Silas N'kwane z garstką chłopaków na wypadek, gdyby okazało się, że te przekłete białasy znowu planują na nich napaść. Tym razem jednak byli przygotowani. Cała piwnica pod Ju-Ju House zawalona była bronią. Nie mogą, nie może pozwolić sobie na to, aby znowu ich okradziono.

– No i ta policja. Było z dwa tygodnie, jak kręcili się tutaj codziennie. Łazili mi przed sklepem, zaglądali w najczarniejsze dziury. Jacyś tacy podenerwowani byli, powiem ci. Nasze chłopcy przez te dwa tygodnie też jakieś takie dziwne. Niby przychodzili, niby rozmawiali, ale dało się wyczuć w nich napięcie, jakby zaraz mieli skoczyć tym białasom do gardeł. Wszystko przez tę strzelaninę, co ci mówiłam. Tak, tak! Wiedziałam, że nic dobrego z tego nie będzie, ale kto by tam staruchy słuchał!

Mukunga słuchał. Co jakiś czas oblizywał nerwowo wargi, czekając, aż z ust staruszki padnie informacja, po którą tutaj przyszedł.

– No, ale na szczęście uspokoiło się w końcu.– kontynuowała.– Nawet Silas, ten stary cap, odwiedził mnie niedawno. Pytał mnie o ciebie, ale tak jak prosiłeś, nic mu nie mówiłam. Ani słowem, chociaż starał się mnie podejść. Pytał i pytał, ale nic mu nie zdradziłam, nic!

Mukunga uśmiechnął się.

– Nadal przesiaduje w Ju-Ju House?

– No, a gdzie ma być, jak nie w tej ruderze?! Ko tam w ogóle do niego przychodzi? Kto normalny chciałby mieć w domu jedno z tych straszylek, którymi handluje?

Staruszka zmrużyła oczy i przechylając się przez ladę, spojrzała Mukundze prosto w duże, brązowe oczy.

– Strzeż się go, Mukunga, mówię ci. Unikaj go jak ognia. Po co ty tam w ogóle do niego łazisz? Na co ci to? Taki elegancki kawaler! Żonę sobie znajdź, rodzinę załóż, za robotę się weź, a nie. Ostrzegam cię, Mukunga. Silas to diabeł w ludzkiej skórze. Diabeł, słyszysz?

Głos staruszki drżał, była wyraźnie podenerwowana. Mukunga złapał ją delikatnie za dłonie, czekając, aż przestaną się trząść. Gdy się uspokoiła, nachylił się do niej i pocałował w czoło.

– Dobrze, bibi. – wyszeptał czule.

Rozmawiali ze sobą jeszcze przez chwilę. Gdy wychodził, staruszka zawołała go jeszcze.

–Ach, Mukunga! Zapomniałam. Widzisz, starość psuje człowieka od głowy. Wczoraj, a może to było przedwczoraj, przyszedł tu taki jeden i rozpytywał o ciebie. Nic mu nie powiedziałam, tak jak prosiłeś. Bardzo się rozzłościł, że nie może się z tobą spotkać. Kręcił się w kółko po sklepie, aż w końcu wyciągnął kartkę, coś na niej nabazgrolił i przykazał mi, abym przekazała ją tobie, jak tylko przyjdiesz. Dziwny człowiek, powiem ci, jeszcze takiego nie widziałam.

Gdy wręczała mu list, raz jeszcze złapał ją za rękę i mocno przytulił. Milczeli przez chwilę.

– Boisz się, Mukunga, czuję to.

– Wychowałam mnie na lwa, bibi. Mukunga niczego się boi.

Ucałował staruszkę w czoło i szybko wyszedł ze sklepu.

Po chwili kobieta wróciła na swoje miejsce. Usiadła za ladą, zdjęła okulary i niczym sęp zaczęła wpatrywać się w drzwi.

Tak, wychowałam lwa, pomyślała i z uśmiechem na twarzy ponownie zapadła w drzemkę.

Tego samego dnia wieczorem Mukunga ponownie znalazł się na ulicach Harlemu. Niewiele się tu zmieniło przez te kilka tygodni. Zbudowane z czerwonej cegły kamienice straszyły pustymi oknami tak jak wcześniej. Mijający go przechodnie kłaniali się muw pas lub z pośpiechem przechodzili na drugą stronę ulicy. Dobrze być u siebie, pomyślał, uśmiechając się szeroko do własnych myśli.

Tylko ta mgła...

Z jakiegoś powodu gęsta, szara mgła wzbudzała w nim niepokój. Było w niej coś niezwykłego, coś upiornego. Za każdym razem, gdy w nią wchodził, wstrząsał nim lodowaty dreszcz. Jeszcze nigdy ulice Harlemu nie wyglądały tak upiornie.

Po kilkunastu minutach dotarł do celu. Stał przed ogromną kamienicą, która dla osoby postronnej niczym nie różniła się od pozostałych. Mukunga stał i przyglądał się jej. Czuł mrowienie w dłoniach, które stopniowo sięgało łokci i żyłami płynęło wyżej.

Pięciopiętrowy budynek zbudowany był z czerwonej cegły i lata świetności miał już dawno za sobą. Mukunga usłyszał gdzieś, że był tu kiedyś sierociniec. Do wnętrza prowadziły niewysokie, kamienne schodki, na których końcu znajdowały się ledwo wiszące na zawiasach drzwi. Z powybijanych, pustych okien ziała czerń. W niektórych z nich tańczyły targane wiatrem resztki zasłon i firanek, nadając budynkowi jeszcze bardziej upiornego wyglądu. Na trawniku przed budynkiem wały się śmieci, puste butelki i resztki jedzenia. Z głębi, zza drzwi dochodził go dźwięk rozmowy.

Drugi raz tego dnia poczuł, jak na dnie żołądka rodzi się w nim gniew. Energicznie przeskakując stopnie, z impetem otworzył drzwi.

W środku stało dwóch mężczyzn, paląc papierosy. Zupełnie zaskoczeni, nieudolnie starali się wyciągnąć zatknięte za pas maczety. Mukunga stanął w drzwiach, przyglądając im się w milczeniu. Gdy w końcu go rozpoznali, odłożyli broń. Na ich twarzach zaskoczenie ustąpiło miejsce strachowi.

– O, szefie, nie spodziewaliśmy się ciebie – wyjąkał, wbiwszy wzrok w ziemię, jeden z mężczyzn.

Mukunga ruszył w stronę schodów, nawet im nie odpowiadając. Gniew, który tego ranka załagał się w jego żołądku, palił coraz bardziej. Przeskakując po kilka stopni naraz, Mukunga znalazł się w końcu na trzecim piętrze.

Z klatki schodowej w prawo i w lewo ciągnęły się korytarze. Mukunga był tu setki razy, doskonale wiedział, co w nich znajdzie, a jednak za każdym razem, gdy chwycił za klamkę czuł się nieswojo. Tym razem nie zdążył za nią załapać, gdy drzwi otworzyły się same. Stał w nich niski, elegancko ubrany mężczyzna. Tej wysuszonej, wiecznie uśmiechniętej gęby nie dało się zapomnieć.

– Witaj, Silas.

Nie robiąc sobie nic z obecności staruszka, wszedł głębiej w korytarz. Po obu jego stronach ulokowane zostały małe, jednoosobowe pokoiki. Wyposażenie każdego z nich było takie samo: łóżko i taboret. Co jednak nietypowe, do pokoiów nie wchodziło się przez drzwi,

ale przez kraty, dokładnie takie same, jakie funkcjonują w więzieniach. Mukunga szybkim krokiem przeszedł przez korytarz, zaglądając do każdego z pomieszczeń.

Dawno temu ktoś mu powiedział, że ludzkie mięso smakuje jak kurczak. Nie pamiętał już twarzy tego kogoś, wiedział natomiast, że był on w błędzie. Smak ludzkiego mięsa za każdym razem jest inny i zależy od egzemplarza. Czasami jest gorzki, czasami jest słony lub kwaśny. Bardzo, bardzo rzadko jest słodki. Ludzkie mięso, gdyby je żuć, swoją strukturą przypomina coś pomiędzy chlebem a gumą.

Mukunga doskonale o tym wiedział. Wszyscy leżący w tym budynku mężczyźni albo może to, czym się stali, było jego dziełem. Tak, dziełem, bo to on stworzył ich na nowo. Wziął niedoskonałe ludzkie ciało, zahartował je i wypalił ze słabości. Człowiek jest istotą słabą, kruchą, nie każdy rodzi się lwem. On to zmienił. Pozbawił ich uczuć i pragnień. Uciszył bicie serc, dzięki czemu zapomnieli, co to strach. Uczynił ich niezwycięzonymi.

Stare księgi pisały prawdę. Zakazane, bluźniercze rytuały dawały moc, którą wykorzystał dopiero w jakiejś mizernej części, a która – wykorzystana w pełni – da potęgę, której ta ziemia jeszcze nie widziała! Dzięki tym praktykom powoła do życia armię nieposkromionych, nie znających strachu żołnierzy, którzy zgodnie z jego wolą zaprowadzą tutaj nowy ład.

Mukunga zatrzymał się przy jednej z cel i zajrzał do środka. Pomimo wybitego okna i hulającego po celi wiatru smród był niemal nie do wytrzymania. Na łóżku, w kałuży nieczystości i ekskrementów leżał czarny mężczyzna. Pomimo lichego światła Mukunga dojrzał kawały skóry odchodzące od ciała i ropiejące na ciele wrzody. Zimne, puste oczy wpatrywały się w farbę odpadającą plastrami ze ścian. Mężczyzna leżał nieruchomo na wznak i tylko jego usta poruszały się bezwładnie, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Mukunga uśmiechnął się. Z taką armią nikt nie stanie mu na przeszkodzie.

– Są piękni, prawda?

Z zadumy wyrwał go piszczący głos Silasa, który przez cały ten czas siedł za nim, nie odstępując go ani na krok. Mukunga odwrócił się w jego stronę.

– Skąd wiedziałeś, że to tu przyjdę w pierwszej kolejności?

– Nie w pierwszej, nie w pierwszej, panie Mukunga. Jednak mniejsza o to, mniejsza. Cóż to za pasterz, który nie pilnuje swej owczarni? Oczywiście było, że pan Mukunga przyjdzie tu, aby doglądać trzody. Długo go nie było, długo. Na szczęście Silas, stary dobry Silas wszystkim się zajął, wszystkim.

– Właśnie widziałem. Butelki po alkoholu, walające się przed budynkiem żarcie. Ten budynek ma wyglądać na nieużywany, zapomnianeś? I co to za kretyni stojący na czatach?

– Pan Mukunga się nie denerwuje, nie denerwuje – zaczął pojednawczo. – Mamy ważniejsze sprawy, prawda?

Mówiąc to, podniósł głowę i zaczął wpatrywać się w Mukungę. Jego małe oczka wbijały się w jego umysł niczym szpileczki. Przeklęty staruch, pomyślał, wpatrując się w Silasa. Za okrągłymi okularami śmiały się drobne, złośliwe oczka. Miał ogromną chęć złapać go teraz za twarz i rozszarpać ją gołymi rękami. Wyobraził sobie, jak zrywa palcami tę starą, wysuszoną skórę i rzuca ją w kąt. Słyszał jego wrzaski niosące się korytarzami. Czuł zapach krwi, miał ją na rękach. Ciekawe jak smakuje? – pomyślał.

Mukunga uśmiechnął się niewyraźnie.

– Racja, Silas. Zanim jednak się rozejdziemy, popatrz na to.

Sięgnąwszy do kieszeni płaszcza, Mukunga wyciągnął zmięty kawałek papieru, a następnie wręczył go starszemu. Silas w milczeniu czytał przez chwilę. Mukunga dostrzegł, że twarz Silasa, którą tak perfekcyjnie do tej pory kontrolował, zaczyna drżeć.

– Pan Mukunga – Silas wyprostował się, zdejmując okulary i ścierając z czoła krople potu – wielka rzecz nas dzisiaj czeka. Wielka ofiara.

Mukunga z całych sił starał się brzmieć opanowanie.

– Skąd on o nas wie, jak mnie znalazł?

– Nasz Pan ma wiele sług, wielu pasterzy. Nie mogę teraz już dłużej z panem zostać, muszę iść. Tak, iść, przygotować rytuał. Wielka ofiara, wielka.

Nie żegnając się, Silas ruszył w kierunku wyjścia. Stojąc w oknie, Mukunga widział, jak drobnymi kroczkami przechodzi przez plac przed budynkiem, a następnie znika we mgle.

Była już późna noc, gdy Mukunga dotarł na miejsce. Mały, niepozorny sklepik wpełnięty był w jedną z bocznych alejek Harlemu. Nad drzwiami, na krzywo zamontowanym szyldzie koślawe litery układały się w napis Ju-Ju House. W środku nie paliło się żadne światło. Wiedział jednak, że gospodarz na niego czeka. Gdy drzwi uchyliły się, nieprzyjemnie skrzypiąc, Mukunga niemal zachwiał się pod wpływem unoszącego się w środku zapachu kadzideł.

W pomieszczeniu było siwo od dymu. Mukunga nawet nie widział twarzy Silasa, dostrzegał jedynie jego sylwetkę odcinającą się na tle oparów czarnym, zgarbionym konturem.

– W samą porę panie Mukunga, w samą porę.

Silas był widocznie podekscytowany, nawet nie starał się tego ukryć. Mukungę to zdziwiło, ale też trochę zaniepokoiło. Sam kilkakrotnie przeczytał treść pozostawionej mu notatki, jednak ta nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia. Czy coś mu umknęło? Czy wiadomość została zaszyfrowana tak, aby tylko ten przeklęty staruch mógł ją przeczytać?

Zastanawiając się nad tym, zszedł za Silasem do piwnicy. Znalazł się w niskim, wąskim korytarzu, który w całości wypełniony był gęstym dymem kadzideł. Z pomieszczenia w głębi doszło go ciche, rytmiczne bicie bębnow. Na ścianach korytarza tańczyły cienie rzucane przez płonące w głębi pochodnie. Czerwona poświata płynęła fantastycznie po kłębach dymu. Przelewała się i wirowała, przechodząc z ognistej czerni w ciepły pomarańcz i żółć. Na ścianie korytarza Mukunga dostrzegł cień kierującego się w głąb Silasa.

Schyliwszy się, udał się za nim. Oparłszy się jedną ręką o ścianę, kroczył powoli do przodu. Nie mógł oddychać. Miał wrażenie, że jego płuca w całości wypełnione są gęstym, słodkim dymem. Kaszląc co chwila, wszedł w końcu do pomieszczenia.

Przekraczając próg, zrozumiał, że coś jest nie tak. W jednej chwili poczuł, jak jego świadomość gdzieś odpływa. Nie mógł się skupić. Rzeczy wokół wirowały. Ledwo otwartymi oczami rozejrzał się po pomieszczeniu. Wszystko było rozmazane, niewyraźne.

Bywał tutaj wielokrotnie, nigdy jednak miejsce to nie wyglądało tak jak teraz. Przez unoszące się kłęby gęstego, słodkiego dymu dostrzegł wymalowany na podłodze duży, czerwony znak. Był to ten sam symbol, który widział na wręzonej mu dzisiaj rano kartce.

Rozejrzał się po pomieszczeniu w poszukiwaniu Silasa, jednak nigdzie go nie było. Na obwodzie okręgu siedziały ubrane na czarno postacie, rozmywające się tak jak wszystko w oparach dymu. Mruczały coś niewyraźnie, uderzając miarowo w trzymane na kolanach bębny. Dopiero teraz zobaczył, że ze znajdującej się w pomieszczeniu studni zdjęto wieko.

Z głębi dochodził go nierzeczywisty, spowolniony, tubalny szept. Niósł się przez dym, odbijał od ścian, a następnie wybuchał w jego umyśle. Dźwięki nie układały się w żadne znane mu słowa.

Jedną ręką oparty o ścianę, zgięty w pół, starał się opanować. Nieprzytomnym wzrokiem rozglądał się za Silasem. W końcu go dostrzegł. Skulony w kącie czarny kształt nagle wstał i podszedł do niego, nerwowo zacierając ręce.

– Pan Mukunga, proszę za mną.

Dostrzegł, że starzec ubrany jest w długą, powłóczystą szatę ozdobioną kolorowymi piórami. W jednej ręce trzymał berło z czarnego drewna, na głowie zaś miał dziwny, jakby nieudolnie wykonany diadem. Chwyciwszy go delikatnie za rękę, Silas zaprowadził go do środka wymalowanego na ziemi kręgu.

– N'kwane! O co tutaj chodzi? Mów, diable! – wybełkotał z trudem, jednak Silasa to w ogóle nie obchodziło.

Gdy w końcu chwiejnym krokiem dotarli na miejsce, Silas puścił jego rękę i ponownie zniknął w gęstych kłębach dymu. Mukunga, zataczając się, rozejrzał się wokół. Meble, sufit, ściany – wszystko wirowało. Błuznierczy bełkot cały czas sączył się ze studni, nie cichnąc nawet na chwilę. Przez moment wydało mu się, że siedzące na ziemi postacie patrzą na niego, a zamiast twarzy wszyscy mają drewniane, rogate maski. Kiedy wstali, miał już pewność. Widział je wyraźnie za każdym razem, gdy zamaskowane postacie podchodziły i oddalały się od niego, przez cały czas bijąc w bębny.

Nagle naprzeciwko niego znowu pojawił się N'kwane. Stał i uśmiechał się złowieszczo. Mukunga widział, że rusza ustami, że coś do niego mówi, jednak do uszu nie dochodził żaden dźwięk. Wszystko tłumił ten piekielny bełkot wypływający ze studni. Nic poza przelewającym się mamrotaniem i biciem bębnow.

Silas pociągnął go w dół, aby uklęknął. Otumaniony, całkowicie pozbawiony sił, pozwolił na to. Poczuł, jak starzec łapie go za ręce i wyprostowuje je przed nim, a następnie wiąże na wysokości nadgarstków.

Ponownie zniknął, a gdy pojawił się chwilę później, w rękach trzymał dużą, nieforemną maskę przypominającą najczarniejszy koszmar. Maskę, którą dobrze znał. Czarne, bezdenne oczy ziały bezgraniczną pustką. Zbyt słaby, aby przeciwstawić się Silasowi, Mukunga patrzył z przerażeniem, jak starzec zakłada mu ją na twarz.

Nagle wszystko zgasło.

Mukunga poczuł, że tonie. Jak wrzucona do wody bela drewna dryfował bezwolnie w głąb cichego, czarnego oceanu. Gdzieś z góry doszedł go jeszcze złowieszczy chichot Silasa.

Zemdlał.

Gdy się obudził, stał na bezkresnej, szarej pustyni. Popękana, jałowa ziemia ciągnęła się po horyzont w każdym kierunku. Nad nim, z przeraźliwym, ogłuszającym hukiem setek spadających wodospadów przelewała się pustka czarnego nieba pozbawionego gwiazd.

Starał się rozejrzeć, ruszyć, jednak ciało zupełnie nie reagowało na jego myśli. Było jak skorupa, w którą wepchnięto jego świadomość. Nie mógł zrobić absolutnie nic. Patrzył

tylko przed siebie, w punkt, w którym szarość pustkowia łączyła się z atramentową ciemnością nieba.

Nagle poczuł ostry ból w przegubach dłoni, a ręce, bez jego woli, wysunęły się przed niego. Z głębokich nacięć spadały, jedna po drugiej, krople krwi, powoli łącząc się w malutki strumień uciekającego życia. Mukunga patrzył, jak krew wpływa w szczeliny ziemi, powoli wypełnia je i w końcu rozlewa się wokół jego stóp. Był zszokowany tym, jak wiele krwi znajduje się w człowieku. Było jej tak dużo, że stał już w niej niemal po kostki. Ciężka, czerwona krew rozlewała się wokół, aż w końcu niczym rzeka popłynęła w stronę horyzontu.

W tym samym momencie poczuł, jak jego własne usta otwierają się pomimo jego woli. Usłyszał słowa, o których wymówieniu nawet nie pomyślał.

– Oto jest rzeka krwi, która napoi potomstwo Tej, Która Przychodzi z Lasu, Matki Wszystkiego Co Było, Co Jest i Co Będzie. Oto jest rzeka krwi, którą Jej ofiaruję, nie żałując żadnej z kropel.

Mukunga zobaczył, a może tylko mu się wydawało, że daleko na horyzoncie, w miejscu, gdzie znikła rzeka jego krwi, pojawiło się nagle kilkadziesiąt jasnych punkcików. Były jak gwiazdy, a jednak ich blask zupełnie ich nie przypominał. Jedne świeciły na żółto, inne na czerwono, jeszcze inne miały kolor, którego nie potrafił opisać.

W tym samym momencie poczuł silny ból w nogach, a chwilę później bezładnie zwałił się na ziemię. Zupełnie tak, jakby nagle coś z nadludzką siłą zmiażdżyło jego nogi. Gdyby tylko mógł, zacząłby krzyczeć.

Zamiast tego ponownie otworzyły się jego usta.

– Oto jest pieśń pękających kości. Pieśń, do której z radością tańczyć będzie potomstwo Czarnej Kozy z Lasu. Oto jest pieśń łamanych kości. Pieśń grana ku chwale Jej Tysiąca Młodych. Oto pieśń miażdżonych kości. Zaproszenie na ucztę.

Wijąc się z bólu, Mukunga uniósł głowę ponad kałużę krwi. Mógłby przysiąc, że na horyzoncie pojawiło się jeszcze więcej migoczących punktów. Były ich tam setki, jeśli nie tysiące. Kiedy jedne gasły, zaraz obok rozpały się kolejne, zupełnie tak, jakby mrugały.

Całą jego świadomość wypełniły paroksyzmy bólu tak silnego, że tylko cudem nie osunął się jeszcze w niebyt. Poczuł, jak jego własne usta otwierają się ponownie.

– Oto w pękniętych kościach znalazłem *manę*, którą ofiaruje teraz na ucztę Czarnej Kozie i Jej Tysiącu Młodym. Niech jedzą, piją i tańczą!

Nagle całą przestrzeń przeszył okropny huk, który ogłuszył Mukungę. Gdy po chwili się ocknął, czuł się tak, jakby dostał w głowę czymś naprawdę ciężkim. Dzwoniło mu w uszach, wszystko wokół wirowało. Z trudem utrzymując głowę nad poziomem krwi, czuł,

jak ziemia wokół niego zaczyna drżeć. Otępiały, starał się rozejrzeć wokół, jednak nie widział nic poza czernią i szarością. Dopiero gdy spojrzał w punkt, w którym znikła rzeka jego krwi, zobaczył to.

Tam, gdzie mieszała się ciemność nieba, szarość pustkowia i czerwień krwi, tam, gdzie migotał gwiazdociąg różnokolorowych gwiazd, pojawiło się coś jeszcze. Na tle ciemnego nieba zaczął zarysowywać się czarny, amorficzny kształt. Wydawało się, że czerń, z której jest stworzony, kotłuje się, przelewa, wiruje. W tej czerni zawieszone były widziane wcześniej przez niego gwiazdy. To coś wyglądało na niebie jak plama benzyny unosząca się na powierzchni wody.

Sam w to nie wierzył, ale czarny, amorficzny kształt, unosząc się nad rzeką krwi, zaczął dryfować powoli w jego kierunku. Mukunga omal nie zemdleł, gdy powietrze wokół przeszył okropny fetor. Rozpoznał w nim smród padliny, smród setek gnijących na słońcu ciał, ohydny fetor bielejących kości. Chwilę później usłyszał bzyczenie miliona much, wycie szakali i coś jeszcze, coś, co omal nie zabiło go na miejscu.

Ponad całym tym szaleństwem, ponad bzyczeniem much, ponad obrzydliwym fetorem i hukiem przelewającej się pustki było coś jeszcze.

Beczenie tysięcy kóz.

Kosmiczny jazgot zwierząt, które przyszły, aby ucztować na jego ciele i krwi.

Mukunga przerażonymi oczami, całkowicie bezradny, w niemej grozie patrzył, jak amorficzna, mackowata plama kosmicznej czerni, rozświetlona tysiącami frenetycznie mrugających oczu sięga po niego...

Palący ból w nogach i ciepło spływającej po rękach krwi uświadomiły mu, że wciąż żyje. Natychmiast zaczął się trząść, licząc na to, że jakimś cudem zdoła się uwolnić. Szybko zrozumiał jednak, że związany jest zbyt mocno i że walka o przeżycie straciła jakikolwiek sens.. Po chwili, gdy półprzytomny od bólu rozejrzał się wokół siebie, zrozumiał także, że wisi zawieszony za nadgarstki nad studnią znajdującą się w podziemiach Ju-Ju House. Zaczął krzyczeć tak przeraźliwie, jak krzyczeć może tylko ktoś, kto stanął oko w oko z horrorem spoza tego miejsca i czasu. Wrzeszczał i miotał się jak wyrzucona na brzeg ryba. Wszystko na nic. Zmęczony i zrezygnowany przestał w końcu wierzyć.

Piwnicę pod Ju-Ju House dalej wypełniały kłęby gęstego, białego dymu. W jego oparach stała setka, a może i tysiąc stłoczonych jeden koło drugiego mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie czarne, rogate maski.

– Obyś smażył się w najgłębszym kręgu piekła, Silas! – krzyknął Mukunga.

Zamiast odpowiedzi usłyszał dochodzący zza siebie złowieszczy, nierzeczywisty chichot. Chwilę później poczuł, jak zimny, ząbkowany nóż rozcina mu podbrzusze, a on sam powoli zaczyna opadać w dół.

W tej samej sekundzie całe pomieszczenie wypełnił głos tysiąca mężczyzn, którzy wpatrując się w niego, powtarzali jak w transie, coraz głośniejsze i głośniejsze:

–Iä! Shub-Niggurath!

–Iä! Shub-Niggurath!

–Iä! Shub-Niggurath!

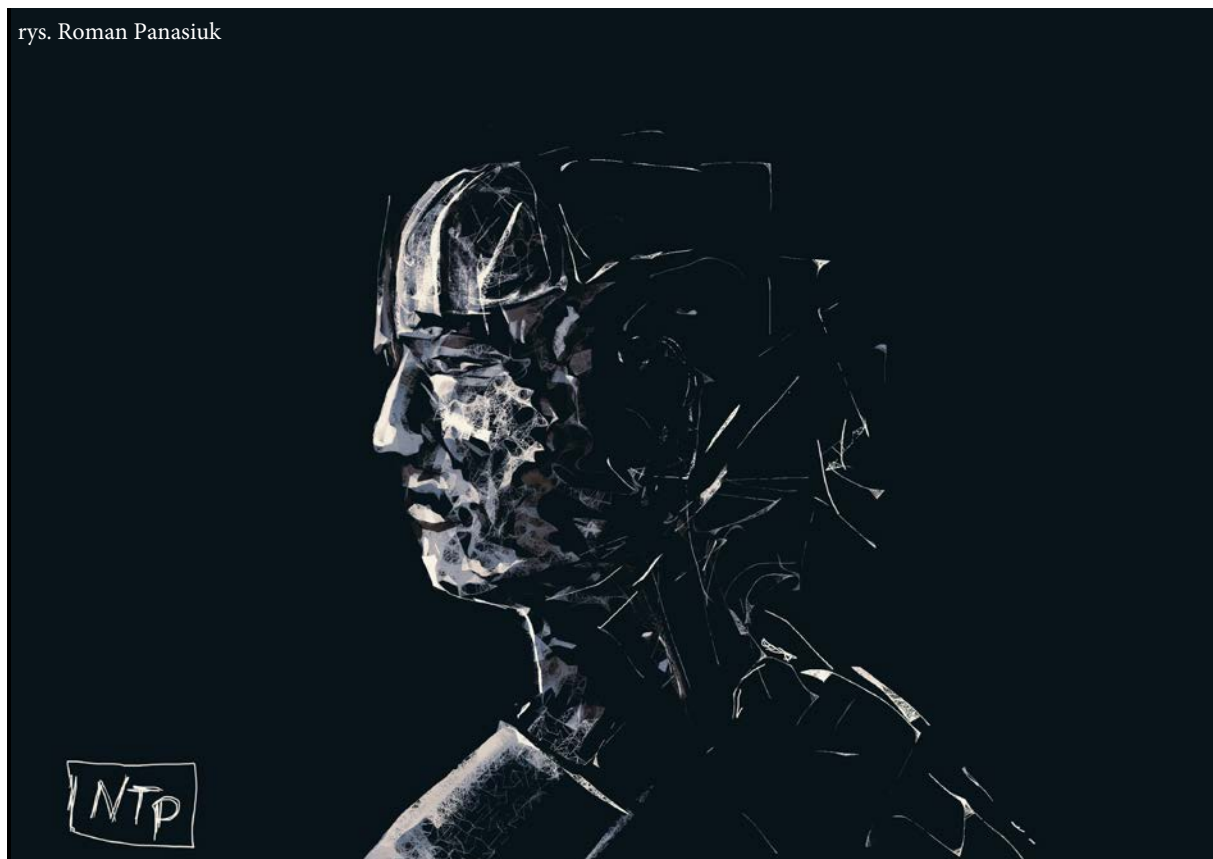
Mukunga, człowiek, który całe życie uważał, że urodził się lwem, ostatkiem sił spojrzał w dół. W wirującej ciemności dostrzegł otwierające się, jedno po drugim, oczy Tysiąca Młodych.

KIDS of EVIL

MIEJSCE DLA MIŁOŚNIKÓW RETRO POPKULTURY
KLASYKA NIE UMIERA NIGDY



rys. Roman Panasiuk



OSTATNI ELEMENT

Marek Ścieszek

Odwróciła się i choć prawdy domyśliłem się wcześniej, widok mojej ukochanej wstrząsnął mną. Poruszałem ustami niczym wydobyty z wanny świąteczny karp. Marta. Usiadła na brzegu łóżka, jedną dłoń opierając tak, że znalazłem się pomiędzy jej przedramieniem a lewym bokiem. Palcami drugiej dłoni gładziła mnie po policzku.

Odzyskałem głos.

– Jesteś – wyszeptałem szczęśliwy, że mnie nie opuściła w chwili zwątpienia.

Skinęła głową w milczeniu. W jej wzroku było to, czego tak mi brakowało w minionym roku – doznanie silniejsze od śmierci. Mimo iż wszystko to, co uznawałem za rzeczywistość, było jedynie złudzeniem. Wypadek nie miał miejsca. A Marta nie odeszła. Nie istniał najmniejszy powód do wyprawy na cmentarz.

Czemu więc leżałem w łóżku, czując, jak całe ciało tętni bólem?

– Jesteś – powtórzyłem.

Marta uśmiechnęła się. Ach, jakże kochałem ten uśmiech. Jakże pragnąłem, aby to do mnie był kierowany i do nikogo więcej. Jaką palącą przeżywałem zazdrość, gdy uśmiechała się do innych mężczyzn.

– Jak mogłeś sądzić – zapytała poważnym tonem – że cię kiedykolwiek opuszczę?

– Nie wiem – przyznałem.

Palce jej dłoni nieprzerwanie głaskały mój szorstki, piekący jak diabli policzek.

– Jesteś moim kochaniem – powiedziała. – Pamiętasz, kiedy mi to powiedziałeś?

Oczywiście, że pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć? Kupiłem jej to szklane świecidełko w kształcie serca, z pływającymi w środku skrawkami złota. Osobiście zapiąłem łańcuszek na jej cudownej szyi. A kiedy się odwróciła, wypowiedziałem pierwsze słowa, jakie mi przyszły na myśl. Zabrzmiały niezwykle patetycznie, jak w peruwiańskiej telenoweli, gdzie Horacio tak kocha swą Esmeraldę, że gotów byłby sprzedać stado mułów, aby móc jej kupić niewolnicę. Marcie się spodobały.

Przeczytała w moich oczach to, co kryło się w głowie. Wyprostowała się i oburącz zaczęła rozpinąć guziki, zaczynając od najwyższego. Kiedy dotarła do końca, ujęła poły koszuli w obie przyciśnięte do ciała dłonie. Opuściła głowę, ale natychmiast ją podniosła.

– Wciąż je noszę – wyszeptała, nagłym ruchem ukazując to, co było pod spodem.

Spojrzałem i zgroza podniosła włosy na mej głowie, łącznie z tymi na karku.

Szklane serduszko wisiało pomiędzy jej śnieżnobiałymi, małymi piersiami, ale tuż poniżej lewej piersi, tam gdzie pod warstwą tkanki i kości powinno znajdować się prawdziwe serce, ziała czerwono-czarna jama. Pusta, jeśli nie liczyć nagich żeber. Przez krawędzie przelewała się gęsta jak smoła krew, tworząc zacieki na alabastrowo białej skórze.

Zacząłem krzyczeć, wycofując się jednocześnie jak najdalej od istoty, która nie mogła być moją Martą. Nie przestając patrzeć na pustą dziurę w jej klatce piersiowej.

Moje kochanie wyglądało na zdziwione.

– Cóż to? – zapytało, ukazując zęby w uśmiechu, który przestał być piękny, a stał się upiorny. – Nie pamiętasz? Dałeś mi sztuczne, błyszczące, ale nie odszukałeś tego drugiego, prawdziwego. Wciąż je masz przy sobie.

Wskazała ruchem głowy. Spojrzałem. Rzeczywiście, w dłoniach trzymałem ociekające krwią ludzkie serce, poruszające się pomiędzy moimi palcami, jakby były klatką żeber dla tego odrażającego tworu. Odrzuciłem krwawy ochłap i zakryłem przedramieniem twarz,

starając się odgrodzić od otaczającego mnie szaleństwa. Krzycząc, nieustannie krzycząc. Czując, jak Marta łapie mnie za ramiona i przygarnia do siebie.

– Za późno. Niczego już nie zmienisz. Umarłam, ale nie odeszłam. Nadal możemy być razem.

Próbowałem ją odepchnąć, ale była zbyt silna. Przytuliła mnie, a ja poczułem na wargach słony smak jej krwi.

– Wezwijcie pielęgniarzy! Wrywa się! – wrzeszczał nade mną niewieści głos. – Szybciej, do cholery. Dajcie mu coś na uspokojenie.

Rzucałem się, próbując odepchnąć od siebie blade, zimne dłonie. Bezskutecznie. Pojawiły się kolejne. Przygniotły do łóżka. Poczułem uklucie w ramieniu oraz rozlewające się wzdłuż ciała ciepło.

– No, nareszcie. – Głos kobiety był dyszący, jakby przebiegła maraton. – Uspokaja się.

– Ma krew na brodzie. – Drugi głos bez najmniejszych wątpliwości należał do mężczyzny.

– Widocznie przegryzł sobie wargę albo język. Niech pielęgniarka go opatrzy.

Chwila ciszy, w czasie której przyszła senność. Podałem się jej bez sprzeciwu. Na granicy snu i jawy usłyszałem jeszcze strzępki słów:

– ... krew na prześcieradle...

– ... odmrożenia...

– ... kikuty...

Nie interesowało mnie już, o czym mówili. Jakie odmrożenia? Jakie kikuty? Nie czułem przecież bólu. Była tylko wspaniała senność niosąca nadzieję. Wiarę w to, że przeszłość nie odeszła. Że kiedy otworzę oczy, zobaczę śpiącą Martę. Że będzie pachniała dzikim bzem. Że gdy pocałuję ją w ramię, uśmiechnie się i... uśmiechnie się i...

Nieważne. Chciało mi się spać.

Tamtego dnia spadł pierwszy śnieg. Szczęśliwie, do tego momentu zebrałem niemal wszystkie elementy; pozostał już tylko jeden, najważniejszy. Wypełniała mnie determinacja, a to oręż bardzo groźny nawet w dłoni ignoranta.

Niestety jeszcze przed południem zaczął padać śnieg i plany wzięły w łeb. Siedząc przy oknie, blisko godzinę wpatrywałem się w wirujące za szybą śnieżynki. Obserwując znikający powoli pod białą pierzyną świat, zastanawiałem się, czy fakt, że zaczęło śnieżyć właśnie dzisiaj, nie był znakiem od Boga czy jakiejś innej siły rządzącej ludzkim losem. Jeśli nie, trudno było sobie wyobrazić bardziej niezwykły zbieg okoliczności.

Z drugiej jednak strony, czy trochę niewygody mogło mnie odstraszyć od czegoś, co planowałem od tak dawna? Zniechęcić do dzieła, którego oczywiście się bałem, ale pożądałem ponad wszystko inne na świecie? Zapatrzony w biel za oknem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nie należało zwlekać.

Po zmierzchu, mając pewność, że nikogo nie napotkam na drodze, ubrawszy się ciepło, wyszedłem na zewnątrz. Śnieg sypał nieprzerwanie, chrząścił pod nogami. Idąc, zapadałem się w nim prawie do kolan. Było niemal pewne, że przez noc napada drugie tyle. Przy bramie garażu naszła mnie ochota, aby zawrócić, odłożyć plany na dogodniejszą porę. Przemogłem się jednak. Tym, co zaciskało się na mojej szyi najsilniej, nie był strach, lecz właśnie determinacja. Przerażało mnie zadanie, które musiałem wykonać, którego jednak nie sposób było już zatrzymać. Za daleko zaszedłem.

– Niech to diabli – wymruczałem, kiedy się okazało, że bez wysiłku nie da się otworzyć bramy garażu. Ale to dobrze, gdyż przy odgarnianiu śniegu być może uspokoi się nienaturalnie mocno bijące serce.

Tyle trudności już na samym początku. Ostateczną czynność zaplanowałem w najdrobniejszym szczególe, tego jednakże, że trzeba będzie usunąć śnieg, aby wyjechać samochodem, nie udało mi się przewidzieć. Musiałem wrócić po łopatę.

W domu czekała na mnie kolejna przeszkoda – przypominałem sobie, że łopata została w garażu. Czując, jak ukryty pod wyższą koniecznością strach przeobraża się w złość, zastanowiłem się, czym też możnaby zastąpić nieszczęsną łopatę. Mój wzrok padł na oparte o panele w korytarzu wiosło.

Przyniosłem je do mieszkania dwa dni temu. Wymagało naprawy, a mnie nie chciało się marznąć w nieogrzewanym garażu. Teraz naprawione, polakierowane, schło spokojniutko w kącie korytarza, nie spodziewając się, że tak szybko przejdzie chrzest bojowy.

Było mocne i w zwykłych okolicznościach przetrwałoby test śpiewająco. Niestety to nie były zwykłe okoliczności. Odsnieżając wiosłem podjazd, coraz bardziej zniecierpliwiony, co chwila zerkając na zasnute szarością chmur i białą sypiącego śniegu nocne niebo, napierałem na stylisko wiosła. Aż pękło. Na szczęście mniej więcej w połowie, można więc było, garbiąc się, dokończyć dzieła.

Spocony, mimo zimna, wyjechałem fiestą wprost w kurzawę. Zniecierpliwieniu nie udało się sprawić, abym zapomniał o zamknięciu garażu.

Meta znajdowała się kilka kilometrów od miejscowości, w której mieszkałem. Oczywiście wybrałem drogę przez las, aby zyskać pewność, że świadków eskapady będzie jeszcze mniej. Pracujący na najwyższych obrotach silnik oraz wycieraczki nie zdołały zagłuszyć łomotu mego coraz szybciej bijącego serca. Od zadania, które zaplanowałem, dzieliły mnie już tylko minuty.

Na tylnym siedzeniu, obok szpadla i silnej latarki, leżała turystyczna lodówka, czekając na swoją kolej w historii.

Byłem bardzo złym planistą. Przekonałem się o tym szybciej, niżbym sobie tego życzył, gdy tylko z asfaltu wjechałem w leśną drogę. Mała fiesta utknęła w śniegu już po kilkunastu metrach. Do kogo mogłem żywić pretensje, jak nie do siebie? Do Boga? Jego w swe plany nie wtajemniczyłem, choć z całą pewnością o nich wiedział. Jeśli ktoś rzeczywiście rzucał mi kłody pod nogi, starając się przeszkodzić we wcieleniu w życie bluźnierczego zamiaru, to jedynie On. Jednak trudno Go było za to winić.

Zły byłem na siebie jak diabli, mimo ogromnego stresu, który mógł mnie jakoś tłumaczyć. Tymczasem siedziałem przez kilka minut w nagrzanym wnętrzu auta, wiedząc, że czeka mnie długi spacer na mrozie. W piersiach wzbierał ocean wściekłości. W końcu szarpnąłem drzwiami, słysząc, jak skrzypi odgarniany śnieg, i wyszedłem w ciemność. Wyprostowałem się, wspierając dłonie o dach fiesty, i zacząłem wrzeszczeć. Krzyczałem długo, aż zabolало gardło, ale przynajmniej złość ustąpiła.

Ogarnąwszy się jakoś, nieco uspokojony, wpelzłem na powrót do samochodu i wydobyłem z tylnego siedzenia niezbędne oprzyrządowanie. Nim jeszcze zdążyłem wyleźć, głośny trzask gdzieś na zewnątrz sprawił, że poderwałem się i uderzyłem głową o podsufitkę.

Z łopatą groźnie utrzymaną w prawej dłoni, przyświecając sobie latarką, obserwowałem czarny jak smoła las wokół mnie. Niewiele mogłem zobaczyć, mimo to latarka wydobywała z mroku cienie drzew i krzewów oraz mnóstwo śniegu – zarówno tego sypiącego nieustannie z nieba, jak i zalegającego wokół.

Długo wpatrywałem się i już zamierzałem ponownie pochylić się po lodówkę, gdy kilkanaście kroków ode mnie zabłysło kilka par czerwonych światełek. Stężałem. Oczywiście, a raczej wpatrujące się we mnie ślepia. Czyżby wilki? Czytałem kilka lat temu artykuł

w lokalnej gazecie o parze tych przemiłych stworzeń wypuszczonej w okolicznych lasach. Czy do tego czasu zdążyłaby powiększyć swą liczebność do watahy? Możliwe.

Poczułem, jak strach przenika moje ciało do kości. Zacisnąłem mocniej dłoń na stylisku szpadla, co nie przyniosło mi spodziewanej ulgi. Schować się na powrót do samochodu nie zdążyłem, bo światelka rzekomych oczu zniknęły. Równie raptownie, jak się pojawiły, jakby ich w ogóle nie było.

Powiodłem strumieniem światła po drzewach, niczego nie dostrzegając. Czyżby mi się przywidziało? Bez przekonania wzruszyłem ramionami. Wilki czy nie, czekał mnie długi marsz przez las. Mogłem się jeszcze wycofać, wrócić do domu i rano wykombinować kogoś z ciężkim sprzętem pomocnym przy wydobywaniu zasypanych śniegiem małych aut, ale determinacja zdominowała rozsądek.

Znacznie wcześniej, zanim jeszcze dotarłem do lasu, w samochodzie obok mnie, na fotelu pasażera pojawiła się Marta. Przyzwyczailem się już do tego, że towarzyszyła mi w moich wyprawach, zatem jedynie dłonie zacisnęły się nieco silniej na kierownicy. Fiesta nie straciła rytmu jazdy na jotę.

Moje kochanie było już niemal kompletne. Wcześniej, zaledwie tydzień po wypadku i trzy dni po pogrzebie, było jedynie głosem szepczącym tuż przy uchu. Rok później, dzień po dniu, tydzień za tygodniem pojawiały się kolejne elementy, niczym puzzle. Aż do zdobycia zostało wyłącznie serce.

Siedząc z dłońmi złożonymi skromnie na zaciśniętych kolanach, zapatrzona w szybę przed sobą, za którą wirowały niezliczone chmary śnieżynek, nie odzywała się. Mimo to doskonale wyczuwałem jej zdenerwowanie. Ledwie godziny dzieliły ją od powrotu do świata żywych. Ledwie godziny dzieliły mnie od odzyskania mej lubej.

Zdecydowanie później nadzieja nie była już dominującym doznaniem. Królowała wściekłość na los, naturę, samego siebie. Na samochód, który w najmniej odpowiednim momencie postanowił ugrzęznąć w śniegu. Na determinację, która mimo niesprzyjającej aury, pchała mnie w kierunku cmentarza przytulonego do ściany lasu, gdzie ledwie przed kilkunastoma godzinami pochowano młodą kobietę. Na zimę, która sięgającymi ud zaspami

oddzieliła mnie od celu, mrozem próbując teraz dokończyć dzieła, już nawet nie likwidacją mych planów, a samego mnie. Nie na wilki, te bowiem na szczęście sobie jedynie wyobraziłem.

Na śmierć, której chrzest kroków zaczął docierać do mnie mimo wycia wiatru.

I na ludzi, którzy znaleźli mnie niemal przykrytego białym puchem i nie pozwolili połączyć się z Martą, nieważne że nie w taki sposób, jak to sobie zaplanowaliśmy.

Odmrożone dłonie paliły żywym ogniem. Odmrożone policzki szczypały przenikliwie. Odmrożonych palców u stóp już prawie nie czułem.

W drzwiach szpitalnej sali stał człowiek w policyjnym mundurze. Udając, że śpię, obserwowałem go spod zmrużonych powiek. Światło z korytarza padało na plecy mężczyzny, nie widziałem zatem dokładnie jego twarzy. Wyczuwałem jednak w spiętej sylwetce zdenerwowanie. A zatem to już koniec. Dowiedzieli się. Któryś z nich pojechał do mojego domu, wszedł do środka i wiedziony policyjnym instynktem zeszedł do piwnicy, gdzie na metalowym stole spoczywało moje nieukończone dzieło. Ludzka powłoka dla Marty. Tak niewiele zabrakło. Tak niewiele.

Zacisnąłem powieki silniej. Nie otwarłem ich nawet, gdy kilka metrów ode mnie rozległy się jakieś szelesty, wzbogacone gwałtowną wymianą wrogich słów:

– Nie wolno!

– Co znaczy „nie wolno”? Jestem pielęgniarką.

– Ten człowiek...

– Nie ważne, co „ten człowiek”. Jesteśmy w szpitalu. Proszę się odsunąć albo wezwąć dyrektora i ochronę.

Nie poruszyłem się gdy wymieniała worek z kroplówką. Nie poruszyłem się gdy sprawdzała opatrunki.

Poruszał się gliniarz. Nerwowy szelest jego munduru docierał do mnie czysto i wyraźnie.

Ciało w mojej piwnicy. Olbrzymie przekłamanie. Fragmenty kilkunastu ciał, zszytych w całość pod czujnym okiem gorączkowo sterującej moimi poczynaniami martwej żony.

Wydobyte z grobów, wykradzione z kostnic... Do jednego Marcie nie udało się mnie nakłonić. Do morderstwa. Żadnego z elementów nie zdobyłem, wycinając go wprost ze stygnącego ciała, pozbawionego życia moimi własnymi rękoma.

Cóż z tego, że dusza żony wróciłaby do mnie w ożywionym quasiludzkim tworze, jeśli mnie samego czekałoby wieczne potępienie?

Choć pewnie i tak było to nieuniknione.

W nocy obudził mnie cichy głos mojego kochania.

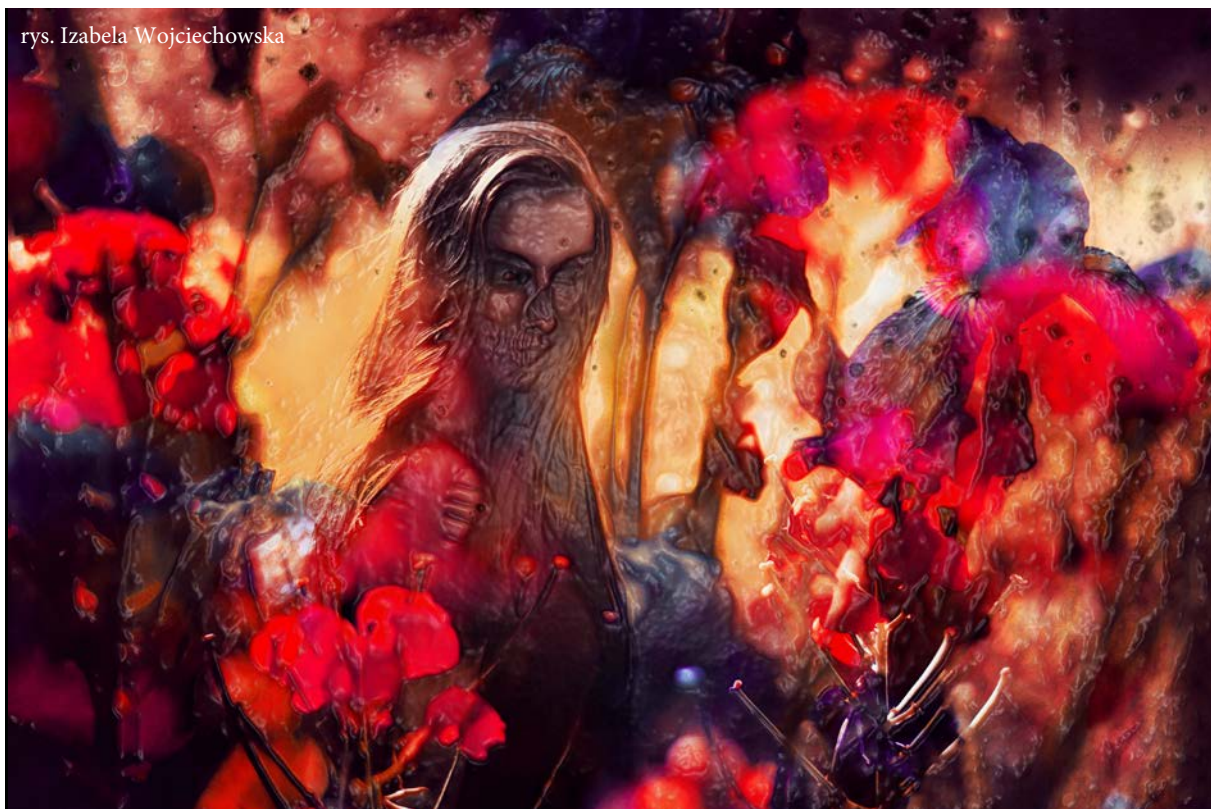
– Nic straconego – rozległ się tuż przy moim uchu, zupełnie jakby Marta leżała obok mnie. – Musisz tylko zdecydować, czy chcesz mego powrotu. Czy chcesz, abyśmy znów byli razem.

Chciałem. Niczego bardziej nie pragnąłem w swoim gównianym życiu.

Nad ranem, zawsze o tej samej godzinie, przychodziła pielęgniarka. Aby sprawdzić, czy żyję i czy nie potrzebuję pomocy. Kiedy przyjdzie tym razem, za jakieś półtorej godziny, będę przygotowany. Na zdobycie ostatniego elementu.

Na potępienie.

rys. Izabela Wojciechowska



OSTATNIA NOC POŚLUBNA

Natalia "Nana" Kędra

Spacer po dziewiczej zieleni w centrum miasta był niczym upragniony odpoczynek na bezludnej wyspie pośrodku oceanu – tylko tam marynarz u steru miotanej sztormem łodzi mógł znaleźć wytchnienie po walce z żywiołem. Podobnie tutaj, w zabytkowym, teraz już porzuconym i straszliwie zaniedbanym parku, dusza złaźniona samotności mogła znaleźć wymarzony spokój. Nathaniel przychodził tu tak często, jak tylko mógł, odgradzając się od świata, z którym łączyło – choć bardziej adekwatnym byłoby zapewne stwierdzenie, że dzieliło – go jedynie uczucie groteskowego niedopasowania. Wolał zamykać się w swoim kokonie odosobnienia i oddawać ponurym rozmyślaniom. Przez lata wędrówek po tym

zapomnianym labiryncie natury, który człowiek niegdyś nieskutecznie próbował opanować, poznał wszystkie miejsca, gdzie mógł się bezpiecznie zaszyć i mieć pewność, że nikt mu nie przeszkodzi.

Przedzierał się przez gąszcz niemożliwie rozrostłych forsycji, zasadzonych tu zapewne przez nieżyjącego już od lat ogrodnika, obsypanych ciężkim od kropel dżdżu listowiem. Gdzieś uchowały się jeszcze pojedyncze kwiaty, łudzaco ożywiając brudną zieleni plamami wyblakłej żółci. Wtem, gdy zmagał się z gałązką, uparcie wczepiającą się w przemoknięty płaszcz, usłyszał szelest. Odgłos, tak obcy w tej świątyni samotności, nie dawał się pomylić z niczym innym – ktoś zbliżał się do miejsca, w którym utknął. Zaskoczyło go to tak bardzo, że na moment zapomniał o walce z opornym krzewem. Gdy otrząsnął się z chwilowego marazmu i ruszył w stronę, z której coraz wyraźniej słyszał kroki, gałąź z żalem puściła, na pożegnanie obdarowując zapłatą połą niepewną, sztywną pieszczotą.

Wynurzywszy się z zarośli, w których niespodziewanie spędził więcej czasu, niż powinien, ujrzał mglistą postać. Kontury stopniowo się ustalały, wyłaniając z szarawego półmroku drobną figurkę w niepasującej do pogody lekkiej, wyjątkowo strojnej sukni. Mokra pasma długich ciemnych włosów oblepiały pociągłą twarz o nieco zbyt ostrych rysach – jej wyraz łagodziło jednak miękkie spojrzenie.

– Co tu robisz? – spytał, przyglądając jej się z zainteresowaniem.

– Szukam zagubionego czasu.

Uśmiechnęła się nieśmiało i lekko się otrząsnęła. Widząc to, szarpnięty tak u niego niecodziennym odruchem współczucia, zdjął płaszcz – przynajmniej cienka podszewka wciąż jeszcze była względnie sucha – i zarzucił jej na ramiona, do tej pory okryte jedynie cienkim, lśniącem materiałem. Skinęła z wdzięcznością i nagle zmętniałym spojrzeniem zapatrzyła się gdzieś w dal. Na próżno starając się odzyskać z nią kontakt, tknięty osobliwym przeczuciem, ujął jej dłoń. Skóra była lodowato zimna, palce drżały nieznacznie. W mgnieniu oka podejmując decyzję, pociągnął ją w stronę, z której przyszedł.

– Nie możemy tu zostać. Nie chcę, żebyś zamarzła.

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi, nie zważał jednak na to. Miał przed sobą jasny cel, który dla jej dobra powinien osiągnąć jak najszybciej. Brnąc przez mokry półmrok wyjątkowo zimnego późnowiosennego wieczoru, chwilowo nie zastanawiał się, co będzie dalej – co zrobi z tą osobliwą, najwyraźniej zagubioną dziewczyną. Najpierw musiał uratować ją przed skrajnym wychłodzeniem. Później będzie się martwił o resztę.

Ledwo dotarli do mieszkania, zdjął z niej teraz już kompletnie przemoczony płaszcz i zaprowadził ją do łazienki. Wciąż bezwolną jak marionetka, usadził ją na opuszczonej klapie sedesu. Upewniwszy się, że siedzi stabilnie i nie zsunie się na zimne płytki, odwrócił się i zaczął napełniać wannę gorącą wodą. Niewielkie pomieszczenie wypełniły kłęby gęstej pary, przywodząc na myśl nieprzeniknioną jesienną mgłę. Wtem wpadł mu do głowy kolejny, jak się wydawało, całkiem dobry pomysł.

– Poczekaj tu, poszukam ci jakiegoś suchego ubrania.

Ponownie nie doczekawszy się żadnej reakcji, zerknął kontrolnie na niespodziewanego gościa. Dziewczyna ani drgnęła, wciąż wpatrzona w pustkę przed sobą. Musiał zwalczyć zbudzony nagle silny instynkt opiekuńczy – przynajmniej na tyle, by chwilowo zostawić ją samą. Nie mógł przecież siedzieć tu z nią w nieskończoność, musiał szybko działać.

Wybiegł na korytarz i w pędzie rzucił się ku drzwiom sypialni. Mgliście zdawał sobie sprawę, że cokolwiek jej zaproponuje, będzie za duże na jej drobną figurkę, ale liczył, że zdoła coś na to zaradzić.

Po kolei przeglądając zawartość szaf, natknął się na gruby szlafrok – jeden z licznych podarków od matki. Foliowe opakowanie wciąż było nienaruszone. Zerwał je teraz i rozłożył zawartość na łóżku. Uśmiechnął się półgębkiem, wyobrażając sobie fałd miękkiego materiału ciągnący się po podłodze za jego gościem, i skinął do siebie z zadowoleniem. Z dolnej szuflady komody wydobył jeszcze nieużywaną flanelową piżamę w neutralnym bladoniebieskim kolorze – kolejny jakże udany prezent – i czysty frotowy ręcznik. Chwycił to wszystko i popędził z powrotem do łazienki.

Gdy pchnął uchylone drzwi, stanął jak wryty. Bordowa suknia leżała niedbale rzucona na podłodze, wymyślną bieliznę pieczołowicie złożono zaś na klapie sedesu. Po chwili znad krawędzi wanny wynurzyła się głowa jego gościa. Zawstydzony, spuścił wzrok, czując, że się rumieni.

– Przyniosłem ci... – wymamrotał i nieporadnie uniósł ręce, z których wyslizgnął się wielki ręcznik.

– Usłyszałem wtedy twój śmiech i...

Uśmiechnęła się ciepło, patrząc Nathanielowi głęboko w oczy. Wiedziała, że ją pokochał. Zrobiła wszystko jak należało i teraz z niecierpliwością wypatrywała finału. Gdy uklękął tuż przy niej, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielkie aksamitne pudełeczko, zakryła usta dłonią, a w jej oczach w idealnym momencie zalśniły łzy. Tak długo na to czekała...

– Rosanno, czy wyjdiesz za mnie?

– Tak! – wykrzyknęła i roześmiała się dźwięcznie.

Patrzyła z zachwytem, jak wsuwa na jej palec maleńki pierścionek. Misternie wykonana obrączka zatrzymała się w ledwie wyczuwalnym wgłębieniu – dokładnie tam, gdzie było jej miejsce – i zalśniła w blasku świec maleńkimi brylancikami osadzonymi w złotej oprawie. Przez moment jak zaczarowana wpatrywała się w spektakl światła. W końcu jakby otrząsnęła się z uroku, ujęła w dłonie twarz chłopaka i złożyła na jego ustach delikatny pocałunek suchymi, zimnymi wargami. Wzięła go za rękę i wciąż ją trzymała, gdy na powrót usiadł i spojrzał jej w oczy z nagłą determinacją.

– Wiesz, Rosie, nie chciałbym nalegać, ale...

– Masz rację. Zróbmy to jak najszybciej – weszła mu w słowo, wywołując na jego twarzy szeroki uśmiech. – Każda minuta bez ciebie to stracony czas. Nie chcę go więcej marnować.

Nathaniel cały się rozpromienił. Powiedziała mu to, co tak bardzo chciał usłyszeć – i była to prawda, lecz nie w taki sposób, jak on ją pojmował. Ale wkrótce to się zmieni. Dowie się wszystkiego, gdy nadejdzie czas.

– Nareszcie sami – rzucił, opadając na olbrzymie łoże w hotelowym apartamencie dla nowożeńców. – Nie przypuszczałem, że ktoś może nie cierpieć wesel tak samo jak ja. – Uśmiechnął się przekornie, patrząc na świeżo poślubioną miłość swojego życia.

– Wprost nie mogłam się doczekać, kiedy skończy się ta farsa – odpowiedziała szczerze, dwukrotnie przekręcając klucz w zamku.

Kiedy odwróciła się do niego i oparła plecami o drzwi, dostrzegł na jej twarzy powagę, przez którą przebijała z trudem maskowana obawa. Przypuszczał, że ten moment będzie dla niej trudny. Przez cały okres narzeczeństwa – choć coraz bardziej się do siebie zbliżali – nawet w stosunku do niego Rosanna była nieśmiała i niezwykle skryta. Miała swoje

sekrety. Wierzył jednak, że przejdą przez wszystko razem, a pewnego dnia zaufa mu na tyle, by się przed nim otworzyć. A kto wie, może stanie się to już tej nocy?

Uśmiechnął się do niej czule, zachęcająco poklepując miejsce u swego boku. Zobaczył, jak jej dłoń rozluźnia się, upuszczając na puszystą wykładzinę powykręcany kawałek metalu. Bezwiednie otworzył usta, wpatrując się w zdeformowany klucz.

Dziewczyna opuściła głowę, kryjąc twarz pod welonem ciemnych włosów. Jej ciało zaczęło drżeć – zupełnie jak tej nocy, kiedy się poznali. Kryształowy żyrandol zatrząsł się i zgasł, gdy z jej ust dobył się cichy szept.

– Nie powiedziałam ci wszystkiego. Właściwie... Niczego o mnie nie wiesz.

– Wiem, że cię kocham – odparł stanowczo, usiłując zamaskować zmieszanie.

Sięgnął w bok i zapalił lampkę przy łóżku. Frędzle na purpurowym abażurze zakołysały się w lekkim powiewie zimnego powietrza, który zerwał się nagle, przemknął przez pokój i równie gwałtownie zamarł, pozostawiając po sobie nieprzyjemne wrażenie. Niezrażone jego zniknięciem frędzle kołysały się nadal.

– Mylisz się. Nie możesz... Tego chcieć.

– Chcę ciebie. Taką, jaka jesteś, z twoim brakiem pewności i z wszystkimi tajemnicami.

– Nic nie wiesz! – wrzasnęła.

Podłoga zatrząsła się pod ich stopami, na suficie pojawiły się pęknięcia, szyby w oknach zadrżały. Światło w łazience zamigotało agonalnie i zgasło, a uchylone drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Krzyk, tak niepodobny do głosu Rosanny, wciąż odbijał się echem od ścian, z których spadły wszystkie obrazy.

Jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch. Obserwując to, Nathaniel poczuł, że już wszystko rozumie. Wstał i podszedł do żony chwiejnym krokiem, niezdarnie próbując przygarnąć ją do siebie.

– Nie wiem, kto cię skrzywdził, ale ja tego nie zrobię – szepnął jej do ucha, nim go odepchnęła. Upadł z powrotem na łóżko, które zaczęło nieznacznie falować.

Leżała tak, zastygła z przerażenia, kompulsywnie wczepiając palce w pomietą pościel. Patrzyła bezradnie na górującą nad nią potężną postać. Gdy silne dłonie zdzierały z niej piękną bordową suknię, uszytą specjalnie na ten wielki dzień, wrzasnęła dziko, próbując je

odepchnąć. W odpowiedzi otrzymała uderzenie w twarz tak mocne, że zadzwoniło jej w uszach.

– Zamknij się, dziwko! Tu i tak nikt cię nie usłyszy. – Jej uszy wypełnił okrutny rechot.
– Zabiorę ci wszystko, słyszysz?

– Tylko do tego ci byłam potrzebna? – wyjęczała słabo, przypominając sobie jego niedawne przysięgi, że z tym koniec, że się zmieni. Że nigdy by jej nie naraził.

– A jak myślisz? Sądziłaś, że cię pokocham? Że rzucę grę dla kogoś takiego jak ty? – Pogarda w jego głosie była niemal namacalna. – Z twoimi pieniędzmi mogę nie tylko zwrócić wszystkie długi. Jeszcze osiągnę wielkie rzeczy. Ty byś mi w tym tylko przeszkadzała. – Uśmiechnął się złowieszczo, widząc jej strach. – Pozbędę się ciebie. Ale najpierw się zabawimy.

Seria silnych ciosów opadających na nagie ciało pozbawiła ją tchu. Czula, jak osłabione żebra w końcu poddają się i pękają jedno po drugim. Po policzkach spłynęły gorące łzy, mieszając się z krwią spływającą z rozciętej wargi.

Kolejne uderzenie zapiekło, pozostawiając ciemną pręgę na udzie. Niewielką częścią jaźni, która walczyła jeszcze o zachowanie przytomności, uświadomiła sobie, że w którymś momencie wyszarpnął ze swoich spodni pas i owinął jego koniec wokół dłoni. Teraz okładał ją bezlitośnie, śmiejąc się za każdym razem, gdy ostra krawędź sprzączki głęboko rozcinała bladą skórę.

Z jej ust wyrwał się zwierzęcy jęk, gdy resztką sił próbowała się odsunąć. Jej kat – jej mąż – zareagował natychmiast. Potężne ciało przygniotło ją całym ciężarem do materaca. Szarpnęła, gdy poczuła, jak się w nią wdziera. Silne dłonie błyskawicznie zacisnęły się na wątłej szyi, odbierając jej oddech.

Poczuła, jak opuszczają ją siły. Kończyny odańczyły krótki konwulsyjny taniec w rytm coraz intensywniej pląsających przed jej oczami mroczków, a potem zapadła ciemność. Ostatnim, co zarejestrowały jej otępiałe zmysły, był oddalający się śmiech tego bydlaka. Potem nie było już nic.

– Zabił mnie.

Nathaniel spojrzał na nią z niedowierzaniem. Nie mieściło mu się w głowie, że opowieść Rosanny mogłaby być prawdziwa. Owszem, wiedział, że na świecie nie brakuje psycholi, którzy zdolni by byli posunąć się do czegoś tak potwornego. Ale jak mogłoby być

możliwe, że patrzy teraz na kobietę, która według własnych słów nie żyje – możliwe, że od bardzo dawna? Nagle – po raz pierwszy odkąd się poznali – pomyślał, że może mieć do czynienia z osobą cierpiącą na poważną chorobę psychiczną.

Dostrzegła coś w jego twarzy i uśmiechnęła się krzywo. Sięgnęła do zapięcia sukienki. Obserwowała męża, gdy materiał osunął się, odsłaniając zdeformowane, gnijące ciało. Sina skóra okrywała kościste członki, zapadniętą klatkę piersiową i obrzmiały brzuch pokryty czarnymi pręgami. Cuchnąca kleista ciecz sączyła się z licznych dziur i obfitym strumieniem spływała po nogach. Obróciła się powoli, pokazując mu również krzyżujące się ślady na plecach, udach i pośladkach. Uniosła włosy, prezentując zakryte do tej pory zsinienia na szyi – ślady dłoni, które zadały śmierć. Stała znów twarzą do niego i spojrzała nań pytająco.

– Mówię prawdę, widzisz? – Niedowierzenie na jego twarzy powoli ustępowało czystemu przerażeniu. – Zabił mnie, ale po niego wróciłam. Wstałam silniejsza. A tego się nie spodziewał.

Uśmiechnęła się upiornie, przywołując wyblakłe obrazy z przeszłości. Jak przez mgłę widziała pobladłą nagle twarz swojego kata, gdy już pojął, czego stał się świadkiem. Widziała zamienione w szpony drapieżnika drobne dłonie, z nieustępliwością szarpiące potężne, bezwładne ciało na strzępy. Gdy skończyła, nie zostało z niego nic, co choć odrobinę przypominałoby człowieka, którym nigdy nie miał prawa się zwać. Jej krew mieszała się z jego krwią, tworząc na podłodze, ścianach i łóżku potworną mozaikę.

Otrząsnęła się z tych słodko-gorzkich wspomnień i spojrzała na Nathaniela. Zbliżyła się powoli i z trudem wdrapała na łóżko. Uklękła przy nim, starając się nie widzieć raniącej mieszaniny strachu i wstrętu na jego twarzy.

– Oto, czym się stałam. Ale ty możesz zdjąć ze mnie ten potworny ciężar. – Umilkła na moment, szukając w jego oczach zagubionego gdzieś blasku uczucia. – Mówiłeś, że mnie kochasz. Udowodnij to.

Udając przed sobą, że nie widzi, jak jej mąż nieznacznie się odsuwa, ostrożnie położyła się na pokiereszowanych plecach. Urywany ruchem obróciła do niego twarz i spojrzała mu w oczy.

– Tylko ty możesz mnie uwolnić.

Zadrzał, patrząc na nią ze strachem. Choć z całej siły nie chciał jej wierzyć, obumarłe ciało Rosanny – nieznacznie drgające dziwnymi pełzakowatymi ruchami jakby niezależnie od jej intencji – nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że historia, choć nieprawdopodobna, jednak w jakiejś części musiała być prawdziwa. Wzdrygnął się, wreszcie w pełni pojmując

wszystkie implikacje tego faktu. Uświadomił sobie, że musi pomóc tej kobiecie. Zrozumiał też coś znacznie bardziej przerażającego.

– Nie mogę... – wyjąkał. – Nie dam rady.

– Musisz! Obiecałeś, że...

– Niczego ci nie obiecywałem! – krzyknął rozpaczliwie. – Pokochałem kobietę, którą nie jesteś! – W jego oczach zalśniły łzy. – To by nie było szczere – dodał już znacznie ciszej.

– A więc jednak! Łudziłam się, że ty jesteś wyjątkowy, że to może być moja ostatnia noc poślubna... Ale jesteś jak wszyscy przed tobą!

Jej upiorny wrzask ponownie wprowadził w drżenie szyby w oknach. Rzuciła się na niego z niehumanitarną zwinnością, nie pozostawiając mu czasu na reakcję. Z przerażającą wyrazistością uświadomił sobie, że oto znalazł się u kresu swej drogi – i ostatnim, czego dane mu będzie doświadczyć, pozostanie potworny ból rozrywanego ciała, a w zapadającej ciemności usłyszy jedynie straszliwe wycie zranionej kobiety, która tak naprawdę kobietą przestała być już lata temu. Westchnął i zrobił wszystko, co w jego mocy, by się nie bronić. I tak nie miał z nią szans. Nie chciał tego przedłużyć.

Przedzierał się przez leszczynowy gąszcz, ociężały od kropel dżdżu. Liście szumiały kojąco, dojrzałe orzechy opadały na ziemię, stukając głucho o mokre poszycie. Wtem, gdy zmagął się z gałązką, uparcie wczepiającą się w przemokniętą koszulkę, usłyszał szelest. Odgłos, tak obcy w tej świątyni samotności, nie dawał się pomylić z niczym innym – ktoś zbliżał się do miejsca, w którym utknął. Zaskoczyło go to tak bardzo, że na moment zapomniał o walce z opornym krzewem. Gdy otrząsnął się z chwilowego marazmu i ruszył w stronę, z której coraz wyraźniej słyszał kroki, gałąź z żalem puściła, na pożegnanie obdarowując materiał ostatnim rozdzierającym muśnięciem.

Wynurzywszy się z zarośli, w których niespodziewanie spędził więcej czasu, niż powinien, ujrzał mglistą postać. Kontury stopniowo się ustalały, wyłaniając z szarawego półmroku drobną figurkę w niepasującej do pogody lekkiej, wyjątkowo strojnej sukni. Mokre pasma długich ciemnych włosów oblepiały pociągłą twarz o nieco zbyt ostrych rysach – jej wyraz łagodziło jednak miękkie spojrzenie.

– Co tu robisz? – spytał, przyglądając jej się z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się nieśmiało, rozbrajająco.

– Szukam zagubionego czasu.

ŚWIĄTECZNY PREZENT URODZINOWY

Wojciech Wardziak

Uwielbiam spacerować po zmroku, szczególnie zimą, bo wtedy powietrze jest takie orzeźwiające. W tym roku zima jest przepiękna. Śnieg delikatnie prószy, oblepiając wszystko dookoła, osiada na mojej twarzy i rękawiczkach i wcale nie znika, bo mróz mu nie pozwala.

Idę ulicą, mijam domy sąsiadów. Prawie wszystkie przystrojone są kolorowymi światłkami – w końcu Wigilia już za dwa dni. W kuchniach krzątają się panie domu, walcząc z czasem, aby przygotować dwanaście tradycyjnych potraw. Panowie natomiast, z pilotami w dłoniach, okupują kanapy w salonach, poświęcając się sprawom wyższego rzędu. Uśmiecham się na myśl, że prawie w każdej rodzinie sprawa wygląda podobnie.

Od razu muszę przyznać, że wcale nie jestem lepszy. Nie lubię świątecznych porządków, nie wspominając o gotowaniu, na którym kompletnie się nie znam. Moją specjalnością jest ubieranie choinki i pakowanie prezentów, chociaż od kilku lat z ochotą pomagają mi wnuki.

Zbliżam się do końca ulicy i mijam ostatnie domy, ale to jeszcze nie koniec wyprawy. Wkraczam na ścieżkę prowadzącą do lasu. Śnieg przyjemnie chrupie pod butami, dostrzegam na nim ślady pozostawione przez samochód Lubiczów. Państwo Lubicz prowadzą firmę i są bardzo bogaci, wybudowali się pod lasem kilkanaście lat temu, jeszcze przed narodzinami dwóch córeczek.

Przy okazji budowy Pan Lubicz zasponsorował drogę. Co prawda ziemię przykryto tylko dużymi betonowymi blokami, ale dzięki nim nie ma już tych cholernych kolein, które tworzyły się przy deszczowej pogodzie, a przez które dziesięć lat temu, zimą właśnie, skręciłem kostkę. Pan Lubicz był tak hojny, że płyty wyłożył aż pod sam las, mimo że willa stanęła mniej więcej w połowie drogi. Zrobił to pewnie z myślą o potencjalnych sąsiadach albo córeczkach, by miały miejsce do bezpiecznej zabawy. Droga wznosi się ku lasowi, więc z po-

wodzeniem nadawałaby się też do jazdy na sankach czy nartach. Nigdy jednak nie widziałem tutaj bawiących się dzieci.

Z każdym krokiem łapię coraz większą zadyszkę; brodzenie w śniegu utrudnia mi marsz. Spoglądam na gwiazdy i myślę sobie, że przez te wszystkie lata świat bardzo się zmienił, ale jakoś niebo pozostaje takie samo i pole po mojej lewej stronie również. Człowiek ciągle chce tworzyć coś nowego, ulepszać, modyfikować, a jeśli ma styczność z czymś starym, to najczęściej to burzy lub wymienia. Na szczęście są rzeczy, na które nie ma wpływu.

Przypominam sobie młodzieńcze lata, jak z chłopakami z sąsiedztwa jeździliśmy na sankach albo budowaliśmy igloo, w którym było cieplej niż na zewnątrz. To były czasy. I jak szybko minęły...

Słyszę szczekanie. To piesek rasy beagle o imieniu Bounty. Bardzo sympatyczne stworzenie. Pewnie już wyczuł nosem, że się zbliżam. Lubię go głaskać i patrzeć, jak wysoko podskakuje. Gdyby upaństwa Lubiczów nie było mu tak dobrze, myślę, że spokojnie przeskoczyłby płot.

Próbuję wrócić do poprzednich myśli, ale nie potrafię, bo uświadamiam sobie, że Bounty wcale nie szczeka, lecz przeraźliwie wyje. Przyśpieszam zatem, podejrzewając, że zwierzak gdzieś utknął albo zranił się od podskakiwania. Podchodzę śmiało do furtki. Bounty sterczy pod drzwiami willi i skrobie pazurami, a jego skomlenie nie ustaje. Wołam za piskiem, gwizdę, ale nie reaguje. Zerkam w stronę okien, gdzie pali się światło; nie dostrzegam żadnego ruchu. Zastanawiam się, dlaczego właściciel pozostaje obojętny, zwłaszcza że Bounty z uporem niszczy wejściowe drzwi.

Mam jakieś dziwne przeczucie, więc postanawiam zadzwonić domofonem. W głośniku rozlega się charakterystyczny dźwięk. Czekam chwilę, ale nie uzyskuję odpowiedzi. Za oknem dalej nikt się nie rusza, nawet nie drgnęła zasłona. O co tutaj chodzi?

Mimo mroku zauważam przy samochodzie ślady męskich butów i kilkanaście mniejszych. Podobnie sytuacja wygląda na schodach. Pan Lubicz i dziewczynki muszą być w środku. Dzwonię jeszcze raz. Pies, słysząc dobiegający z wnętrza sygnał dzwonka, podskakuje do klamki z zamiarem otwarcia drzwi.

Próbuję pchnąć furtkę, bezskutecznie. Przypominam sobie, że ogrodzenie za domem jest pozbawione ostrych zakończeń i być może zdołam się przez nie przedostać. Okrążam posiadłość, przeciskając się przez gęste krzaki. Wdrapuję się na ogrodzenie, choć zadanie wydaje się o wiele trudniejsze, niż przewidywałem. Nogi mam tak sztywne, że nie jestem w stanie ich przełożyć przez górną krawędź płotu. Zaciskam zęby i wtedy potężny ból rozlewa się w okolicy uda. Jednak udaje mi się dźwignąć kontuzjowaną nogę. Z drugą idzie już

znacznie łatwiej. Zsuwam się powoli po ogrodzeniu, nie wykonuję zeskoku, który pewnie zakończyłyby się całkowitym unieruchomieniem.

Brnąc w śniegu przez ogród, widzę światło prześwitujące przez zasłonięte rolety. Zda je się, że tylne drzwi prowadzą bezpośrednio do salonu, i rozważam przez chwilę, czy może zapukać z tej strony. Wewnętrzny głos odradza mi ten pomysł.

Zerkam jeszcze szybko na ogród i dzięki dość jasnemu wieczorowi stwierdzam, że nikt z domowników nie mógł opuścić budynku. Ściska mnie w żołądku. Boże Drogi, myślę.

Bounty nieprzerwanie ujada, kompletnie nie reaguje na to, że wtargnąłem na jego teren. W mojej głowie rodzą się myśli, których zaczynam się bać i zmuszam się, aby je oddalić. Przypominam sobie o nodze i – choć ból chwilowo ustąpił – orientuję się, że kuleję.

Docieram w końcu do frontu. Wspinając się po schodach, mówię do Bounty’ego jak do człowieka. Przez ułamek sekundy patrzy na mnie z nadzieją, że pomogę mu dostać się do środka. Chwytam za klamkę, a drzwi ustępują, biedna psina napiera na mnie futerkowym cielem, aż uda jej się przecisnąć przez wąską szparę.

Słyszę dźwięki kolędy dobiegającej z salonu. Bounty jej nie zagłusza, bo przestał szczekać.

– Halo, czy jest tu kto? – wołam niepewnie. Nikt nie odpowiada.

Wchodzę do środka, a serce bije mi tak mocno, żeomal nie wyskakuje z piersi. Przewiduję najgorsze. Delikatnie stawiam kolejne kroki na błyszczących płytkach korytarza, jakbym bał się nabrudzić. Podążam za światłem docierającym z salonu. Willa jest nowocześnie zaprojektowana, wejścia do pomieszczeń są szerokie; zwłaszcza te salonowe. Z korytarza widzę ogromny stół i krzesła oraz znajdujące się za nimi meble; w ogromnym lustrze odbija się kolorowa choinka i część pomieszczenia.

Staję w progu i spoglądam w lewo, kieruję wzrok napodłogę i zamieram. Obok skórzanego fotela leżą dziewczynki w kałuży krwi. Ciepło rozlewa się po moim ciele i mam odruch wymiotny.

– Boże, zlituj się – szepczę, a ślina staje mi w gardle.

Bounty starannie oblizuje martwe ciało jednej z dziewczynek. Obie mają rany postrzałowe na głowach. To, co widzę, jest okropne, więc szybko odwracam wzrok.

Naprzeciwko leży pan Lubicz, z ogromną raną w okolicy gardła. Jest cały błądy i patrzy na mnie martwym wzrokiem. Dociera do mnie, co mogło się wydarzyć, gdy dostrzegam broń blisko jego prawej ręki.

Wyteżam umysł, choć w moim wieku i w takich okolicznościach nie jest to proste. Pierwsza myśl podpowiada mi, by czym prędzej opuścić miejsce zbrodni, tylko dlatego, że

nie bardzo wiem, co robić. Na szczęście szybko ją odrzucam, uznając po prostu za głupią. Po niej pojawia się kolejna, znacznie bardziej logiczna: A co jeśli pan Lubicz nie jest mordercą? Prawdziwy mógł gdzieś się schować... Rozglądam się dokoła, ale w budynku oprócz Bounty'ego nie dostrzegam żywej istoty. Zresztą gdyby coś mi groziło, nie dotarłbym aż tak daleko. Przypominam sobie o pani Lubicz; przecież ona mogła dokonać mordu. Wierzyć mi się nie chce, że kobieta byłaby zdolna zafundować rodzinie taką masakrę.

Muzyka cichnie i w ciszy tej ogarnia mnie strach silniejszy niż wcześniej. Gdyby nie Bounty i jego wyostrzone zmysły już by mnie tu nie było. Nagle słyszę trzask i ciarki przebiegają mi po plecach. Dźwięk na pewno miał swoje źródło w salonie, więc rozglądam się dokładniej. Dopiero teraz dostrzegam wysoki statyw znajdujący się nieco po prawej stronie. Na jego szczycie umieszczony jest smartfon.

Podchodzę niepewnie i zauważam, że w telefonie uruchomione jest nagrywanie. Zatrzymuję wideo i zapisuję plik; potrafię to zrobić, bo mój starszy wnuczek nauczył mnie obsługi tego cudownego wynalazku. Na głównym pulpicie klikam w kopertę i odczytuję najświeższą wiadomość od „kochanie”.

Brzmi następująco: *Powiedz dziewczynkom, że będą za dziesięć minut. Potrzebujesz coś ze sklepu?:)*

Dociera do mnie, że pani Lubicz pojawi się za dziesięć minut i wyobrażam sobie jej reakcję. Obawiając się, że mogłoby dojść do kolejnej tragedii i że w takiej sytuacji niebezpieczeństwo grozi nawet mi, obmyślam szybko plan, który bez chwili zawahania wprowadzam w życie. Dzwonię do żony pana Lubicza z telefonu jej nieżyjącego męża.

– Hej, kotek, co tam? – odzywa się matka dwóch martwych dziewczynek.

– Dzień dobry, nazywam się Grzegorz Słubicki – zmyślam imię i nazwisko. – Czy rozmawiam z panią Lubicz?

– Tak, coś się stało? Kim pan jest? – pyta nerwowo kobieta.

– Jestem psychologiem policyjnym, pani mąż został zatrzymany za jazdę pod wpływem alkoholu, a ja opiekuję się państwa córeczkami. Spokojnie, nic im nie grozi, pan Lubicz jest w tym momencie poddawany badaniu krwi.

– Rozumiem, zaraz będę. Komenda na Bochenka, tak? Proszę powiedzieć dziewczynkom, że mamusia już jedzie.

Przez chwilę nic nie odpowiadam, bo łzy cisną mi się do oczu i boję się, że kobieta wyczuje kłamstwo. Szybko się opanowuję.

– Tak, dziewczynki znajdują się na komendzie przy ulicy księdza Bochenka. Proszę jechać spokojnie, dziewczynkom nic nie grozi, pani Gosia wymyśliła im jakąś zabawę– mówię bez zająknięcia.

– Dziękuję za informację, już jadę – odpowiada nieco uspokojona Danuta Lubicz i się rozłącza.

Wypuszczam powietrze z płuc i dzwonię na policję.

– Komenda policji w Trzebnicy– odzywa się oficer dyżurny.

–Dzień dobry, dzwonię z delikatną sprawą, proszę mnie cierpliwie wysłuchać, to bardzo ważne – mówię powoli, najspokojniej, jak tylko potrafię.

– Dobrze, proszę powiedzieć, skąd pan dzwoni.

–Jelczycka dwa. Znajduję się właśnie w domu na Jelczyckiej dwa, w domu pana Lubicza. Chwilę wcześniej szedłem na spacer, ale zaniepokoiło mnie szczekanie psa, inne niż zawsze. Postanowiłem dowiedzieć się, co się stało, i zadzwoniłem do domofonu. Nikt jednak nie odpowiadał. Znam ten dom i miałem złe przeczucie. Drzwi wejściowe były otwarte, a to, co zastałem wewnątrz, woła o pomstę do nieba; odkryłem na podłodze ciała dwóch dziewczynek, a tuż obok ciało ich ojca.

– Wysyłam do pana karetkę– przerywa mi dyspozytor.

– Dobrze, niech pan wyśle – reaguję gwałtownie. – Proszę mnie jednak posłuchać, to niezwykle ważne.

– Tak, słucham pana cały czas.

– Na telefon pana Lubicza zgłosiła się żona, po prostu wysłała wiadomość, że za dziesięć minut będzie w domu. Obawiając się jej reakcji na widok córek, postanowiłem oddzwonić i przedstawiając się jako psycholog policyjny, odesłałem ją na komendę. Zmyśliłem historię, że mąż został zatrzymany, ale córkom nic nie grozi i poprosiłem, aby odebrała dzieci. Rozumie pan?

Na drugiej linii cisza.

–Yyy... Tak... rozumiem... – odzywa się niepewnie dyspozytor.

– Za kilka minut zjawi się u was kobieta, której rodzina została przed chwilą zamordowana, rozumie pan? – tłumaczę wolniej. –Dwie córeczki i mąż leżą martwi na podłodze. Ta kobieta jeszcze o niczym nie wie. Proszę się nią zaopiekować.

– Dobrze, przyjąłem, zajmiemy się tą panią. Proszę pozostać na miejscu, karetka już jedzie.

– Dziękuję– mówię i postanawiam się rozłączyć, ale dyspozytor na to nie pozwala.

– Proszę podać imię i nazwisko.

– Henryk Sobierski – odpowiadam.

– Dobrze, panie Henryku, jest pan pewny, że nikt nie przeżył? Proszę spróbować ocenić, czy któraś z dziewczynek oddycha, a jeśli nie, proszę uciskać klatkę piersiową. Ile lat mają dziewczynki? –dopytuje oficer dyżurny.

– Około dziesięciu – rzucam nerwowo. – Dziewczynki nie żyją, proszę pana, mają przestrelone na wylot główki, ich ojciec chyba popełnił samobójstwo. Powtarzam raz jeszcze, nikt nie przeżył. Najważniejsze, żebyście zaopiekowali się matką, która zaraz u was będzie.

– Rozumiem – potwierdza dyspozytor. – Zatem proszę czekać, zaraz ktoś powinien przybyć na miejsce. Zajmiemy się panią Lubicz najlepiej, jak to tylko potrafimy.

– Dziękuję – mówię i kończę połączenie. Zupełnie nie mam ochoty ani nie widzę powodu, aby je przedłużyć.

Trzymam w dłoni smartfon i biję się z myślami. Ciekawość sprawia, że odnajduję w menu zakładkę zatytułowaną „wideo” i uruchamiam ostatnie nagranie.

Przy choince stoją uśmiechnięte dziewczynki. Trzymają w dłoniach kartki z narysowanymi dużymi serduszkami, z podpisem: *Dla kochanej mamusi w dniu urodzin*. Pana Lubicza nie widać, słychać jednak jego głos, ustawia dziewczynki, tak aby znalazły się w centrum ekranu.

– Jesteście gotowe? – pyta.

– Tak, tatusiu – odpowiada młodsza, a druga wesoło tańczy.

W tle słychać utwór, a pan Lubicz podchodzi do dziewczynek i staje za nimi, kładzie dłonie na ramionach córek. Przyglądam się jego twarzy i bez problemu dostrzegam, że jest niespokojny, że walczy z myślami.

Dziewczynki śpiewają, a mężczyzna puszcza młodszą córeczkę i sięga do tylnej kieszeni po broń. Kiedy dziecko obraca się w stronę taty, ten zaciska zęby i strzela. Starsza siostra zaczyna krzyczeć, próbuje wyrwać się z objęć, ale ojciec gwałtownie przysuwa ją i naciśka spust. Dziewczynka pada na ziemię.

Lubicz jest cały we krwi, płacze i przygląda się martwym córkom. Osuwa się na kolana i krzyczy na całe gardło. Szybko jednak wstaje i zbliża się do kamery. Patrzy prosto w obiektyw, a ja odruchowo odsuwam od siebie urządzenie, nie chcę widzieć oczu mordercy.

– To prezent dla ciebie, kurewko – mówi przez zaciśnięte zęby. Robi dwa kroki w tył i strzela sobie w głowę.

W DOMU NAJLEPIEJ

Aleksandra Knap

– Dzień dobry, panie Stanisławie. – Uśmiechnęłam się do sąsiada, mijając go na korytarzu.

– Dzień dobry, Kruszyńko – odpowiedział starszy mężczyzna.

Codziennie gdy wracałam z pracy, pan Stanisław wolnym krokiem wspinał się po schodach na trzecie piętro zabytkowej kamienicy. Niemal za każdym razem spotykaliśmy się na tym samym, przedostatnim poziomie. Zgarbiony i wychudzony, z trudem pokonywał kolejne stopnie. Co kilka metrów przystawał, by odpocząć i uspokoić kołatające z wysiłku serce. Trzymał się wtedy poręczy swoją drżącą, kościstą dłonią, przypominającą raczej wysuszony bądryl niż ludzką kończynę. Niezależnie od pory roku na jego głowie znajdował się czarny, elegancki kapelusz, który unosił do góry w powitalnym geście. Uważałam to za bardzo uprzejmy i jednocześnie szarmancki zwyczaj.

Pan Stanisław zajmował mieszkanie na końcu korytarza, na wprost naszego. Dzielili ją odległość mniej więcej dziesięciu metrów. Pomiedzy nimi, po lewej stronie znajdowało się wejście na strych, a następnie klatka schodowa. Budynek nie posiadał windy, toteż starszy pan musiał sobie radzić bez niej.

Gdy go zobaczyłam, przypomniała mi się rozmowa z jego córką sprzed dwóch tygodni. Kobieta w średnim wieku od kilku miesięcy starała się przekonać ojca do zmiany mieszkania. Proponowała mu lokum na parterze, co bardzo ułatwiłoby mu codzienne funkcjonowanie. Jednak pan Stanisław nie zamierzał opuszczać miejsca, z którym łączyło go tak wiele wspomnień. Przecież to właśnie w nim spędził większość swojego życia: to przez ten próg przenosił swoją żonę tuż po ceremonii ślubnej, tu urodziły się jego dzieci. Niestety, ku rozpaczy córki żadne argumenty nie zdołały go przekonać do przeprowadzki.

– Zawsze był uparty i nigdy nie liczył się ze zdaniem innych, ale odkąd zmarła mama, to już zupełnie nie umiem się z nim porozumieć. – Kobieta miała łzy w oczach. W duchu przyznałam jej rację. Gdy w zeszłym roku odeszła jego żona, nawet ja zauważyłam zmianę w

jego wyglądzie i zachowaniu. Mężczyzna jeszcze bardziej się zgarbił i schudł. Jego ruchy stały się wolniejsze, zupełnie pozbawione siły i motywacji. W dalszym ciągu witał mnie uśmiechem, ale pełnym smutku i bólu. Jego oczy odzwierciedlały żal i cierpienie, którego nawet nie umiałam sobie w pełni wyobrazić.

Niezmienne nazywał mnie Kruszynek, co z biegiem czasu irytowało mnie jednak mniej niż w pierwszych miesiącach znajomości. Początkowo wydawało mi się, że staruszek ze mnie kpił. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że to określenie zupełnie do mnie nie pasowało. Nie dość, że byłam niewielkiego wzrostu, to na dodatek miałam krępą budowę ciała. Od zawsze walczyłam z dodatkowymi kilogramami, których nigdy nie udało mi się pozbyć. W związku z tym pieszczotliwe imię nadane mi przez sąsiada odbierałam jako wytykanie mojej wady i kompleksu. Jednak, biorąc pod uwagę traumatyczne wydarzenia, których doświadczył mój sąsiad, starałam się patrzeć na niego bardziej przychylnym okiem i nie żywić do niego urazy za ten nietrafiony przydomek.

– Kocham cię – szepnęłam mu do ucha, gdy leżeliśmy objęci w pościeli. Zegar wskazywał dziewiątą dwadzieścia osiem. Najwyższa pora, żeby wstać, umyć się, zjeść śniadanie, a następnie zająć się czymś pożytecznym. Ale w ten mroźny sobotni poranek żadne z nas nie miało ochoty zajmować się pożytecznymi sprawami. Leżeliśmy w łóżku, przytulając się i rozmawiając o codzienności albo zupełnie zwyczajnie milcząc.

– Też cię kocham. – Odgarnął włosy z mojej twarzy, a następnie spojrzał mi głęboko w oczy. Zawsze wtedy czułam przyspieszone bicie serca. Robert był mężczyzną mojego życia. Dawał mi wszystko to, czego potrzebowałam. Jego obecność napawała mnie spokojem i energią jednocześnie. Sprawiał, że poznałam samą siebie. Bez niego wszystko straciłoby sens. Jego namiętne pocałunki utwierdzały mnie w przekonaniu, że byliśmy dla siebie stworzeni. Żadna siła nie zdołałaby nas rozdzielić.

– Ale mi z tobą dobrze, wiesz? – Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. – Dobrze mi z tobą tu, w naszym domu, który razem tworzymy.

– To prawda, kochanie, w domu najlepiej – przytaknął, po czym przytulił mnie jeszcze mocniej.

– Widziałaś klepsydrę? – Robert postawił na stole siatki z zakupami, po czym ściągnął kurtkę i schował ją do szafy. Weszłam do kuchni i zaczęłam wypakowywać produkty.

– Nie, nie widziałam. Kto umarł? – zapytałam z obojętnością w głosie. Nie żyliśmy w specjalnej zażyłości z żadnym z sąsiadów.

– Ten z naprzeciwka – odparł.

– Pan Stanisław? – Spojrzałam na niego zdumiona.

– Tak, ten, który co wieczór serwuje nam koncert muzyki klasycznej... Fortepianowo-skrzypcowe wariacje. – Robert przewrócił oczami. Rzeczywiście starszy był wielkim fanem tego rodzaju muzyki. Słuchał jej codziennie o stałej porze na jakimś przestarzałym gramofonie. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby nie podkręcał jej na cały regulator. Na takim zdezelowanym sprzęcie odtwarzana melodia brzmiała niczym jazgot. Ja po pewnym czasie nauczyłam się ją ignorować, natomiast Robert niezmiennie jej nie znosił.

– Daj spokój, nie mówi się źle o zmarłych – upomniałam go łagodnie.

– Wiem, przepraszam. Pogrzeb jutro o trzynastej. Chcesz iść?

– Nie, nie... Po co? Przecież prawie się nie znaliśmy – odrzekłam zmieszana. Jednak informacja o śmierci naszego sąsiada zrobiła na mnie większe wrażenie, niż mogłabym się spodziewać. Poczułam się dziwnie nieswojo, chociaż nie rozumiałam dlaczego. Był dla mnie obcą osobą. Nic mnie z nim nie łączyło. A mimo to...

– Coś nie tak? – Robert objął mnie w talii i przysunął do siebie.

– Nie, wszystko dobrze... – Starałam się uśmiechnąć, ale raczej mi to nie wyszło, bo Robert kontynuował:

– Na pewno? Wyglądasz na zdenerwowaną. – Nie umiałam udawać. Wszelkie emocje miałam wypisane na twarzy.

– Jest mi trochę smutno... Przypomniałam sobie nasze wczorajsze spotkanie... Odniosłam wrażenie, że pan Stanisław ostatnio bardzo się postarzał... Zapewne czuł się już bardzo źle. – Wtuliłam się w jego silne ramiona i przymknęłam oczy, jakby miało mi to pomóc odgonić przygnębiające myśli. Nie pomogło.

– Nie zadręczaj się o tym, proszę. – Musnął ustami moje czoło, a następnie kilkoma delikatnymi ruchami pogładził moje włosy.

– Wydaje mi się, że on się tak załamał po śmierci swojej żony. Z każdym kolejnym dniem wyglądał coraz gorzej, zauważyłaś?

– Na pewne sprawy nie mamy wpływu. Poza tym... Wszystkich nas czeka ten sam koniec. On i tak przeżył w zdrowiu i szczęściu długie lata...

– Masz rację. Trzeba skupić się na tym, co w życiu dobre i cieszyć się każdą chwilą. – Spojrzałam na niego z wdzięcznością. Mimo wszystko poczułam się trochę lepiej.

– Chodź, obejrzymy jakiś dobry film. – Złapał mnie za rękę i zaprowadził do salonu.

Chodziłam nerwowo po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Niemal bez przerwy wyglądałam przez okno, wypatrując naszego samochodu. Ford focus. Granatowy. Lekko zarysowany zderzak od strony pasażera. Nigdy nie przyznałam się, że to moja robota, ale przeczuwałam, że Robert doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Znowu zaczął padać śnieg. W związku z tym, że utrzymywała się temperatura dodatnia, biały puch momentalnie topniał. Na drodze tworzyła się śliska i niebezpieczna nawierzchnia. Włączyłam radio w nadziei, że muzyka pozwoli odgonić ponure myśli. Nic z tego. Ponownie podeszłam do okna. Na zewnątrz panowała prawie całkowita ciemność. Jedyne kilka latarni oświetlało pustą ulicę. Robert od godziny powinien być w domu. Dzwoniłam do niego z tysiąc razy. Dlaczego nie odbierał?

Starałam się nie panikować, ale wyobrażenia podrzucała mi najgorsze scenariusze. W tym momencie do moich uszu dobiegł dźwięk utworu *Natural*, który komunikował połączenie przychodzące od Roberta. Rzuciłam się w stronę telefonu.

– Robert? – niemalże krzyknęłam do słuchawki.

– Kochanie... Będę później, niż planowałem... – Robert był wściekły. – Nie dość, że szkolenie się przedłużyło, to jeszcze utknąłem w korku, bo jakiś kretyń wjechał do rowu!

– Dobrze, że dzwonisz... Martwiłam się o ciebie. – Odetchnęłam z ulgą, słysząc jego głos. – Gdzie jesteś?

– Za Wrocławiem. Miną wieki, zanim go stamtąd wyciągną. – Dodał zrezygnowany.

– Najważniejsze, że tobie nic się nie stało. Jedź ostrożnie. Kocham cię!

– Ja ciebie też. Do zobaczenia.

Nie byłam zadowolona z takiego przebiegu wydarzeń. Wolałabym mieć Roberta przy sobie. Mimo wszystko cieszyłam się, że w końcu poznałam przyczynę jego przedłużającej się nieobecności. Dzięki temu odzyskałam równowagę i mogłam skupić na innych czynnościach. Przypomniałam sobie, że powinnam zebrać pranie, które na pewno już wyschło. Zarzuciłam na plecy szarą bluzę z kapturem, po czym sięgnęłam do małej, drewnianej skrzyneczki po klucz od strychu.

Otworzyłam drzwi od mieszkania i wyszłam na korytarz. Przywitała mnie ciemność. Czujka działała z opóźnieniem, więc dopiero po kilku sekundach usłyszałam charakterystyczny dźwięk pstryknięcia. Zapaliło się światło. Wtedy pewnym krokiem ruszyłam przed siebie. Mimowolnie wpatrywałam się w drzwi znajdujące się na wprost mnie. Pomyślałam o panu Stanisławie oraz o tym, że już nigdy nie przekroczy progu swojego lokum, do którego tak bardzo się przywiązała. Przed oczami stanęła mi jego zgarbiona sylwetka oraz koścista dłoń opierająca się na poręczy schodów. To straszne, że zapamiętałam akurat ten obraz. Zapewne powodem było to, że takim widziałam go po raz ostatni.

Przez całą tę drogę towarzyszyło mi przeświadczenie o czyjejś obecności. Zupełnie irracjonalne, jak sądziłam, gdyż nikt poza mną nie przebywał na tym piętrze. Dotarłam do końca korytarza. Odwróciłam się w stronę wejścia na strych, po czym wyciągnęłam klucz z kieszeni bluzy i włożyłam do zamka. W tym momencie poczułam zimny oddech na karku. Odskokczyłam w bok zupełnie zdezorientowana. Rozglądałam się nerwowo dookoła, wypatrując winowajcy. Serce waliło mi jak oszalałe. Jakby miało wyskoczyć mi z piersi. Nikogo nie dostrzegłam. Na pewno nikogo nie dostrzegłam, przecież byłam tu sama.

Gdy tak trwałam bez ruchu, mój oddech powoli się uspokajał. W głowie zaczęły się rodzić logiczne wnioski. Wzięłam głęboki oddech i skarciłam się za histeryczne zachowanie. Wtedy usłyszałam pstryknięcie. Światło zgasło. Zobaczyłam ciemność, która mnie przeraziła. Nie mogłam pozwolić jej zostać. Uniosłam rękę. Czujka wychwyciła ruch i ponownie ujrzałam starą szafę z niezmiennie uchylonym frontem, drewniane krzesła stojące przy ścianie, a także drabinę prowadzącą na dach. Tylko tyle.

Pchnęłam masywne drzwi i weszłam na strych. Uderzył mnie mroźny powiew powietrza. Znowu któraś sąsiadka zapomniała zamknąć okno. Podbiegłam do parapetu i zatrzasnęłam szklaną ramę. Od razu przyjemniej. To na pewno przez ten przeciąg poczułam chłód na plecach kilka chwil temu. Na pewno.

Zabrałam się za ściąganie ze sznurka białych ubrań. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą kosza na bieliznę, byłoby mi łatwiej. Bez niego musiałam trzymać wszystko w rękach. Nagle jedna skarpetka zsunęła się na podłogę. Schyliłam się, by ją podnieść. Pstryknięcie. Uniosłam głowę i spojrzałam w stronę otwartych na oścież drzwi. Na korytarzu zapaliło się światło. To niemożliwe. Przecież od kilku minut znajdowałam się na strychu. Wtedy ujrzałam czarny kształt przypominający ludzką postać. Niezbyt wyraźny, w związku z tym nie mogłam tego stwierdzić na pewno. Pomyślałam, że to cień. Tyle że ten cień stał w progu i pomimo tego, że nie miał oczu, patrzył prosto na mnie.

Obudziłam się z bólem głowy. Promienie słoneczne przedzierały się do sypialni przez uchylone okno. Spojrzałam na zegarek stojący na komodzie: szósta piętnaście. Skrzywiłam się z niezadowoleniem. Zamknęłam oczy i nasunęłam kołdrę na twarz w nadziei, że uda mi się ponownie zasnąć. Odwróciłam się na drugi bok. Robert w dalszym ciągu spał.

Wrócił wczoraj późnym wieczorem, zupełnie wykończony. Niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Zjadł kolację, wykąpał się i położył się do łóżka. Cieszyłam się, że dojechał do domu cały i zdrowy.

Nie poruszałam tematu tajemniczej postaci, którą spotkałam na strychu. Nie chciałam go niepotrzebnie denerwować. Zwłaszcza że nie byłam do końca przekonana, kogo lub co tak naprawdę widziałam. Gdy przygarnął mnie do siebie i mocno przytulił, wszelkie złe myśli zaczęły odpływać. Czarny kształt zdawał się być tylko zwykłym przywidzeniem i omamem wzrokowym. Zasnęłam spokojna i odprężona.

Więc czemu teraz obudziłam się przemęczona? Powinnam być wypoczęta, w końcu spałam nieprzerwanie całą noc. Złe myśli wróciły. Otworzyłam oczy i wiedziałam, że nie dam rady się odprężyć. Nie mogłam dłużej leżeć. Jednocześnie nie chciałam zakłócać wypoczynku Roberta, który zaczął delikatnie pochrapywać. Podniosłam się z łóżka najciszej jak potrafiłam. Opuszkami palców rozcierałam czoło, pragnąc pozbyć się uporczywego bólu. Niestety masaż nie pomógł. Sięgnęłam szlafrok z oparcia fotela, wsunęłam kapcie na stopy, a następnie skierowałam się w stronę przedpokoju. Gdy przekroczyłam próg, bezszelestnie zamknęłam za sobą drzwi. Pomyślałam, że tylko konkretna dawka paracetamolu zdoła wybawić mnie od tych katuszy.

W kuchni, w niewielkiej szafce nad zlewem, znajdowały się tabletki, których potrzebowałam. Opatuliłam się miękkim szlafrokiem i ruszyłam przed siebie. Jednak zanim dotarłam do celu, zatrzymałam się przed dużymi drewnianymi drzwiami wejściowymi. Odniosłam dziwne wrażenie, że ktoś za nimi stał. Pomimo tego, że nie usłyszałam żadnego dźwięku sugerującego czyjąś obecność, byłam pewna, że ktoś się tam znajdował. Przeczucie okazało się na tyle silne, że musiałam spojrzeć przez wizjer. Na końcu korytarza ujrzałam czarną postać, tę samą co poprzedniego wieczoru. Nie poruszała się, nie wykonywała żadnych ruchów, tkwiła w jednym miejscu. Przerazająca i mroczna. Oblał mnie zimny pot. Zamknęłam oczy, a po kilku sekundach ponownie je otworzyłam. Wtedy wpadłam w panikę. Zjawą wcale nie znikła. Wręcz przeciwnie. Nieznacznie zbliżyła się w moją stronę. Odskokczyłam od drzwi jak

poparzona. Nie mogłam się dłużej w nią wpatrywać. To było ponad moje siły. Cofnęłam się kilka kroków, aż natrafiłam na ścianę. Dopiero wówczas złapałam oddech.

– Robert, wstawaj, bo spóźnisz się do pracy. – Szturchnęłam go w ramię. – Nie słyszysz budzika?

– Co takiego? Tak... Już wstaję – odpowiedział zaspanym głosem, po czym przekręcił się na drugi bok.

– Robert! – Pochyliłam się nad nim i krzyknęłam mu do ucha. Niestety, nie zrobiło to na nim większego wrażenia. – Robert!

– Przecież nie śpię... – mamrotał, ale w dalszym ciągu nie otworzył oczu.

– Co jest z tobą? – zaczynałam się martwić. Nigdy nie miał problemu ze wstawaniem. Na pewno był wypoczęty, w końcu wczoraj zwlókł się z łóżka dopiero przed południem. Rozumiem, że sobotnie przygody tak bardzo go zmęczyły, że mógł opaść z sił. Tyle tylko, że wieczorem ponownie położył się już po dziewiątej. To zupełnie do niego niepodobne.

Kilka minut później siedzieliśmy razem w kuchni i spożywaliliśmy śniadanie. Przyglądałam się Robertowi, który przeżuwał kanapkę jakby od niechcenia. Mój mąż zdawał się popadać w coraz to większą apatię. Niby wykonywał wszystkie codzienne czynności tak jak zwykle, ale zupełnie brakowało mu zaangażowania i energii. Nawet patrzył na mnie inaczej niż dotychczas. Jego twarz wyrażała zubożenie na świat zewnętrzny.

– Może pójdziemy we wtorek do kina? – Uznałam, że trochę rozrywki przyda się nam obojgu.

– Jasne. – Starał się uśmiechnąć, ale wyszedł mu dziwny grymas.

– A co byś chciał obejrzeć?

– Obojętnie, wybierz coś. – Nawet nie spojrzał w moją stronę. Wstał i poszedł do łazienki.

Gdy zaparkowałam pod domem, było grubo po osiemnastej. Zebranie z dyrektorem generalnym nigdy nie kończyło się zgodnie z planem. Każdy z nas, zwłaszcza na początku roku, musiał się liczyć z częstymi posiedzeniami trwającymi do późnych godzin wieczornych. Przywykłam do takiego systemu pracy i nie miałam zamiaru się buntować. Jednak tego dnia

czułam się rzeczywiście wyczerpana. Jedyne, o czym marzyłam, to wziąć długą kąpiel, a następnie wskoczyć do łóżka.

Ledwie żywa weszłam na trzecie piętro. Gdy przekroczyłam próg, zdałam sobie sprawę, że Robert jeszcze nie wrócił. W mieszkaniu panowała zupełna ciemność. Włączyłam światło w przedpokoju i zaczęłam ściągać kurtkę oraz buty. Do moich uszu nie dochodził żaden hałas, nikt się nie poruszał.

– Robert? – zapytałam dla pewności, chociaż doskonale wiedziałam, że go nie zastałam. Złapałam za torebkę i wyciągnęłam leżący na samym dnie telefon. Nie zdążyłam wybrać numeru, gdy usłyszałam charakterystyczny dźwięk włączającego się czujnika ruchu na korytarzu. W pierwszej chwili pomyślałam, że to mój mąż. Uradowana nacisnęłam na klamkę i czym prędzej otworzyłam drzwi. Uśmiech znikł z mojej twarzy. To nie był Robert.

Czarna postać bez twarzy znajdowała się na wprost mnie. Tym razem widziałam ją bardzo wyraźnie. Stała kilka kroków przede mną.

W jednej sekundzie cofnęłam się do mieszkania i zatrzasnęłam drzwi. Drżącymi ze strachu rękami przekręciłam klucz w zamku. Następnie przywarłam do ściany i zacisnęłam powieki. Nie miałam siły, żeby się poruszyć. Nie miałam odwagi, by spojrzeć przez wizjer.

Dostałam drgawek, nad którymi bezskutecznie starałam się zapanować. Skuliłam się w sobie. Modliłam się w duchu, by zjawą odeszła. Gdy zaczęłam się wsłuchiwać w przyspieszone bicie własnego serca, zrozumiałam, że musiało mnie ogarniać szaleństwo. To wszystko nie działo się naprawdę. To tylko wymysł mojej wyobraźni.

Robert wrócił do domu kilka minut po tym, jak zdołałam doczłapać do łazienki i przygotować sobie kąpiel. Leżałam na plecach, zanurzona w wodzie aż po brodę. Starałam się odprężyć, ale moje myśli bezustannie krążyły wokół mrocznej postaci. Ponownie zaczęła mnie ogarniać panika. Im bardziej próbowałam z tym walczyć, tym gorzej się czułam. Wtedy Robert niespodziewanie wparował do środka, a ja poderwałam się zaskoczona.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. – Zrobił skruszoną minę. – Myślałem, że słyszałaś, jak wchodziłem.

– Słyszałam, ale... – Pragnęłam opowiedzieć mu o tym, co mnie dręczyło. Robert na pewno znalazłby na to wszystko racjonalne wytłumaczenie. Jednak coś mnie przed tym powstrzymało. Zamilkłam i przyjrzałam się mu z zainteresowaniem. Wyglądał zupełnie inaczej niż wczoraj i dzisiaj rano. W ogóle nie sprawiał wrażenia ospałego i zmęczonego. Jego ruchy

były energiczne i zdecydowane, a ton głosu radosny. Znow zachowywał się normalnie. Jak Robert, którego znałam i kochałam.

– Wszystko dobrze? – Pochylił się nade mną i spojrzał mi głęboko w oczy.

– Tak, już teraz tak – odparłam z uśmiechem.

– To wychodź szybko, coś ci pokażę. – Robert nie krył podekscytowania.

– Daj mi minutę.

Weszłam do salonu ubrana w biały szlafrok. W dłoniach trzymałam ręcznik, którym wycierałam mokre końcówki włosów. Robert stał przy komodzie odwrócony do mnie plecami. Majstrował przy jakimś urządzeniu, ale nie byłam w stanie dojrzeć przy jakim. Gdy usłyszał moje kroki, zawołał rozemocjonowany:

– Zamknij oczy, proszę.

Zrobiłam, co kazał. Wtedy do moich uszu dobiegła znajoma melodia. Dźwięk fortepianu, do którego po kilku sekundach dołączały skrzypce i wiolonczela. Zamarłam. Ręcznik zsunął się na podłogę. Otworzyłam oczy i spojrzałam na Roberta z przerażeniem.

– Kupiłem gramofon – zawołał uradowany, odsłaniając nowy nabytek. Nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam. – Przechodziłem obok sklepu, tego tu na rogu, i zobaczyłem to cudo na wystawie. Poczulem, że muszę go mieć. Facet dołączył do niego tę płytę. Nie znam się na muzyce klasycznej, ale brzmi całkiem nieźle, nie uważasz? Że też wcześniej go sobie nie sprawiłem...

– Czy ty wiesz co to za utwór? – wyjąkałam.

– Nie, nie mam pojęcia. Bach? Mozart? – wyliczał rozbawiony.

– Pan Stanisław codziennie słuchał właśnie tej melodii!

– Naprawdę? – Robert zrobił zdziwioną minę.

– Tak! W dodatku jej nie cierpisz, pamiętasz? – prawie krzyknęłam. Byłam wściekła i przerażona zarazem.

– Nie podoba ci się?

– To tobie się nie podoba!

– O czym ty mówisz?! – Złapał się za głowę. – Chciałem zrobić ci niespodziankę. Myślałem, że się ucieszysz. Od kilku dni jesteś bardzo przygnębiona...

– Ja..? – Otworzyłam usta, ale po chwili ponownie je zamknęłam. Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Idę się kąpać. – Robert wyraźnie posmutniał. Schylił się, by podnieść ręcznik, który upuściłam kilka sekund wcześniej, po czym wyszedł z pokoju. Wpatrywałam się w gramofon. Igła przeskakiwała po płycie, odtwarzając nostalgiczną melodię. Czułam, że zaczynam tracić

zmysły. Podbiegłam do adaptera i nacisnęłam przycisk stop. Odetchnęłam z ulgą. Zapadła błoga cisza.

Niestety, nie trwała długo. Usłyszałam dziwny odgłos, jakby zgrzytanie. Dochodził z przedpokoju. Niepewnym krokiem podeszłam do drzwi wejściowych. Nie, to jednak nie zgrzytanie, raczej drapanie. Dźwięk był coraz bardziej intensywny. Przypominał wbijanie potężnych pazurów w drewnianą powierzchnię. Jakby ktoś wszelkimi siłami chciał przebić się do środka. Zerknęłam przez wizjer. Czarna zjawy znajdowała się tuż przy drzwiach. To ona próbowała wdrzeć się do naszego domu. W histerii zaczęłam przekręcać wszystkie zamki. Przecież ten rodzaj zabezpieczenia gwarantował nam schronienie! W tym momencie straciłam tę pewność. Poczułam się bardzo zmęczona. I słaba. I pozbawiona wszelkiej nadziei. Zrezygnowana osunęłam się na podłogę.

Ocknęłam się na łóżku. Otulała mnie miękka i puchowa kołdra. Promienie słoneczne wpadały do pokoju przez niezasłonięte okna. Która godzina? Zerknęłam na zegarek. Matko! Dziewiąta piętnaście. Powinnam być w pracy! Spałam aż tak głęboko? Gdzie Robert? Zerwałam się kompletnie dezorientowana. Z kuchni dochodził dźwięk gotującej się wody w czajniku, a także odgłos zamykanej szafki. Robert już wstał? Czemu mnie nie obudził? Miałam najgorsze przeczucia.

Nie zakładałam kapci, tylko czym prędzej wyszłam z sypialni. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy. Zobaczyłam profil Roberta, który siedział przy stole i jadł kanapki. Rozejrzałam się dookoła, ale nie zauważyłam niczego niepokojącego. Wszystko wyglądało tak jak zawsze.

– Robert? – odezwałam się z wahaniem. W tym momencie mój mąż odwrócił głowę w moją stronę. Spojrzał na mnie lodowatym, bezdusznym wzrokiem. Jego oczy odzwierciedlały mroczność i bezwzględność. Wstrzymałam oddech i mimowolnie robiłam krok w tył. Wtedy jego twarz się zmieniła. Próbował uśmiechnąć się przyjaźnie, jednak efekt był jeszcze bardziej przerażający. Wyciągnął do mnie rękę i przemówił spokojnym głosem:

– Dzień dobry, Kruszyńko.

rys. Marcin Czarnecki



WSPOMNIENIA OTCHŁANI

Jarosław Adam Pankowski

Październikowe popołudnie było jeszcze ciepłe mimo rozpoczynającego się wieczora. Były to ostatnie dni, gdy można było odczuć grzejące promienie słońca na ciele. Po tej przyjemnej pogodzie nie dałoby się przewidzieć, jaka mokra i zimna jesień nadejdzie już za kilka dni. Wybiegłem na złamanie karku ze stacji metra na najbliższe przejście przez ulicę.

– Choroba, choroba, choroba! – kląłem pod nosem.

Byłem spóźniony już dziesięć minut. Szef oczywiście musiał dorzucić mi dodatkowe zadanie właśnie dzisiaj. Właśnie w dzień, w którym byłem znowu umówiony z tym facetem. Jeżeli już sobie poszedł, to straciłem kolejną okazję. Tajemniczy człowiek, przedstawiający się tylko jako Damian, miał w końcu podzielić się swoją opowieścią. Po tym, jak poznałem go na internetowej grupie, nieustannie mnie fascynował. Wiedziałem, że muszę pochłonąć każdy detal, którym jest gotów się podzielić. Od dawna pociągały mnie wszystkie niezwykle opowieści – nawiedzone domy, magiczne miejsca, cały ten zestaw. Z zapalem kolekcjonowałem takie historie, opowiadane przez zwykłych ludzi. W końcu założyłem własnego bloga, gdzie wrzucałem każdą relację, jaką usłyszałem. Miałem już wpisy o duchach w Cytadeli, o Czarnym Romanie, a nawet o wycieczce po tajnych korytarzach pod Pałacem Kultury i Nauki. Udało mi się nawet zebrać małą społeczność podobnych zapaleńców, którzy odwiedzali moją stronę. Moje własne małe królestwo, ucieczka od stresu egzystowania w świecie warszawskich korporacji. Czasem czytelnicy wysyłali mi swoje znaleziska, które dodawałem do zbiorów. Miałem ich już sporo. Teraz jednak musiałem zdobyć coś specjalnego. Coś, o czym nikt jak dotąd nie słyszał. Nadchodziło Halloween, a wtedy zawsze ludzie szukają czegoś ekstra. Była okazja zadziwić wszystkich i nie mogłem jej zmarnować.

Zadyszany dobiegłem w pobliże miejsca spotkania. Zaczynało się już ściemniać. Przez moment dyszałem ciężko, rozglądając się dookoła. Samotny pub z ogródkiem stał niedaleko wysokoprzepustowej drogi. Kilka stołów z ławkami, każdy ukryty pod parasolem, było wystawionych przed budynek. Wszystko to otaczało niskie ogrodzenie wydzielające teren dla gości. Zobaczyłem go siedzącego na ławce przy jednym ze stołów. Popijał piwo, zaciągając się co chwilę papierosem.

– Cześć, sorry za spóźnienie – rzuciłem, dosiadając się.

Jeszcze przez kilka sekund łapałem oddech. Zachłystując się powietrzem, poczułem dym papierosowy w gardle i zakrztusiłem się na moment.

– Spoko, nie przejmuj się.

Odpowiedział spokojnym, niemal znudzonym głosem, patrząc gdzieś w dal. W ogóle nie zwrócił uwagi na moje kasłanie. Na każdym spotkaniu wydawał się lekceważący. Wyraźnie nie chciał podzielić się swoją historią. Momentami wydawał się ulegać namowom tylko po to, by zaraz schować się za parawanem wymówek. Kolejne rozmowy staczały się w kierunku bezsensownych pogaduszek. Tak było już od dłuższego czasu. Ja jednak byłem zdeterminowany. Niemal wbrew zdrowemu rozsądkowi za każdym razem próbowałem

znowu. Podświadomie wyczuwałem, że jest w nim coś nadnaturalnego, że ukrywa niezwykle doświadczenia. Musiałem mieć je dla siebie.

– No to co?! Opowiadaj.

– Jesteś pewien, że chcesz tego słuchać?

– Tak, rozmawialiśmy już o tym.

– Ale na pewno? Jest masa ciekawszych rzeczy do zrobienia. Widziałeś ten nowy serial...

– Posłuchaj, chodzę na te spotkania z tobą od miesiąca. Za każdym razem zmieniasz temat i niczego się nie dowiaduję. Mam tego dosyć! Chcę wiedzieć. Zasluguję, żeby w końcu wszystko usłyszeć.

Tym razem mój napad złości odbił się na jego zachowaniu. Przestał gapić się po okolicy, a zamiast tego skupił wzrok na mnie. Skanował mnie spojrzeniem przez dłuższą chwilę. Wywoływało to nieprzyjemne, niemal bolesne uczucie. Byłem pewien, że mnie testuje. Patrzy, ile jestem w stanie wytrzymać, jak daleko zajść, żeby dostać to, co ugasi palenie wewnątrz.

– Dobrze – odparł w końcu – jeżeli naprawdę tego chcesz, to...

– Tak, chcę!

– ... to słuchaj.

Jego wzrok wwiercił się we mnie jeszcze bardziej. Zrozumiałem, że zbiera siły, by wyrzucić z siebie dawne wspomnienia, przeżycia, które nie były przyjemne. Dla niego było to bolesne, dla mnie oznaczało dobry materiał. Szybko wyciągnąłem telefon i uruchomiłem aplikację działającą jak dyktafon, nie chciałem stracić żadnego słowa z tego, co usłyszę.

– Byłem wtedy paramedycznym. Jako dzieciak nie miałem za bardzo pomysłu na to, co chcę robić w życiu, a to wydawało się ekscytujące. Skończyłem studia, zdałem egzamin i zaczynałem staż, właśnie tutaj, w stolicy. Miałem już kilka akcji na koncie. Przydzielono mnie do zadań razem z bardziej doświadczonym ratownikiem. Nazywał się Ryszard, dla mnie po prostu Rysiek. Nazwiska wolę już nie podawać. Ok? No dobrze, zatem Rysiek i ja mieliśmy już trochę wspólnych wyjazdów. Facet był genialny – opanowany, profesjonalny, zawsze wiedział, co robić. Stał się dla mnie kimś w rodzaju mentora. W końcu nadszedł dzień, o którym ci opowiem. Było wezwanie do jakiejś miejscowości pod Wawą, zaledwie parędziesiąt minut jazdy. Nie pamiętam dokładnie której, ale...

– Serio nie pamiętasz, gdzie to było? – przerwałem zawiedziony, gdyż detale były dla mnie bardzo istotne.

– Nie – powiedział lekko zirytowany – dostaliśmy wezwanie i od razu wskoczyliśmy do wozu. Byłem skupiony na tym, żeby nie schrzanić niczego. To kierowca miał wiedzieć, gdzie jechać. Możesz mi nie przeszkadzać, kiedy mówię?

– Chciałbym wiedzieć, gdzie to się wydarzyło. Może kiedyś odwiedzę tę okolicę.

– Nie znam nazwy. Jak mówiłem, wtedy nie było czasu się dopytywać, a gdy było już po wszystkim, nie chciałem nawet wiedzieć. Tak czy inaczej dotarliśmy pod jakiś domek jednorodzinny. Na miejscu była już policja, chyba dwóch lokalnych mundurowych. Obaj gadali z jakimś facetem, który tam mieszkał. To był taki trochę starszy gość, mocno zapuszczony. Mówił, że jego syn dziwnie się zachowuje i zadzwonili po policję i pogotowie, bo boją się, że zrobi coś niebezpiecznego. Poszliśmy za nim do tylnych drzwi przez ogródek. To, co zapadło mi w pamięć, to porozrzucane z tyłu rzeczy. Od frontu wszystko było schludne i uporządkowane, posadzone rośliny, przystrzyżony trawnik i w ogóle. Tyle że na tyłach wałała się cała masa śmieci, wydaje mi się, że wiele z tego to były materiały do budowy i wykończenia, ale już stare i niezdatne do użytku. Weszliśmy do środka, do jakiegoś saloniku. Wewnątrz była chyba żona tego mężczyzny, który nas powitał, a obok siedział jego syn. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, nawet zaczynał już lekko łysieć, ale od razu było widać podobieństwo do rodziców. Zebraliśmy się wszyscy wewnątrz: ja, Rysiek, dwóch policjantów i rodzice tego gościa. Staliśmy dookoła niego przez chwilę. Tamten siedział z twarzą schowaną w dłoniach i popłakiwał co parę sekund. Urywanymi zdaniami mówił coś, że „nie może znieść tego, że wszyscy ciągle mają do niego pretensje” i że „nie daje rady spełnić żądań wszystkich ludzi dookoła”. Wyglądał na tak żalosego, że aż było to smutne...

– Ok. Sorry, że ci przerwę. Naprawdę, to wszystko? Po prostu trafiłeś na dorosłego mężczyznę, który zachowywał się w taki dzieciniały sposób? Przyznaję, normalne to to nie jest, ale umawialiśmy się na coś innego.

Po tych słowach Damian zamilkł na chwilę. Zaciągnął się mocno papierosem i cicho wpatrywał we mnie. Na pewno miał mi za złe, że znowu mu przerwałem, jednak nic mnie to nie obchodziło. Wewnątrz byłem rozbawiony, aż do wściekłości. Jak dotąd historia nie zapowiadała się ciekawie. Wręcz przeciwnie, wyglądała na bardzo nudną. Byłem już prawie pewien, że skończy się co najwyżej jakąś szarpaniną. Kompletnie nie nadawało się to na nowy wpis na blogu, nie było szans, że zainteresuje ludzi. Cała cholerna praca poszła na marne. Nie miałem ochoty patrzeć na twarz Damiana, za bardzo mnie teraz irytowała. Korzystając z momentu ciszy, zacząłem wodzić oczami po okolicy. Było już całkiem ciemno, w dodatku zaczęło z lekka padać. Krople rozbijały się o parasol kryjący nasz stół,

wygrywając smętną melodię. Jakiś człowiek stał niedaleko, najwyraźniej nie przejmując się deszczem. Musiał chyba wyjść z baru, bo nie widziałem, żeby ktoś wchodził z ulicy na teren ogrodzonego ogródka. Wreszcie siedzący naprzeciw milczek odezwał się. Jego głos, wciąż zaskakująco spokojny, miał w sobie już inny ton. Jakby bardziej wyniosły, starający się przekonać, że to, co mówi, to poważna sprawa.

– Wiem, że nie jesteś pod wrażeniem, ale już zacząłem opowiadać. Nie mogę teraz przerwać, nawet gdybym chciał. Natomiast co do twoich wątpliwości na temat jego zachowania, to powiem jedno. W wielu krajach ludziom tak odbija: Japonia, Stany Zjednoczone, pewnie lista jest dość długa. U nas też się to zdarza w ostatnich latach. Niektórzy po prostu wariują przez nacisk otoczenia, a może on miał jakąś chorobę psychiczną. Szczerze mówiąc, nie wiem. No, ale wracajmy do tamtych wydarzeń. Skup się na tym, co mówię. To, co się wydarzyło, jest wszystkim tym, czego chciałeś. Zapewniam cię, że o niczym nie zapomnisz. Będziesz słuchał?

Przytaknąłem znowu skupiony na jego słowach. Zaskoczyło mnie to, ale powoli stawały się niemal hipnotyzujące. Tym bardziej przyciągały, im bardziej wgryzał się w tamte zdarzenia.

– Zatem... Dalej słuchaliśmy jego lamentów. Mówił, jak to nie może znieść sytuacji i nie widzi sensu życia. Wtedy jeszcze myślałem, że damy mu po prostu środek uspokajający i wyślemy na jakąś terapię. Nagle jedno z jego rodziców powiedziało coś... co to było... coś w stylu „ja w ogóle nie rozumiem, o co mu chodzi”. To właśnie był początek najgorszego. Początkowo nikt nie spodziewał się jego reakcji. Naprawdę zaczął wariować, rzucał się na boki i szarpał za włosy, na zmianę płakał i śmiał się histerycznie. Rysiek ruszył w jego stronę, chyba chciał go uspokoić. Właśnie w tym momencie... dopiero w tym momencie naprawdę usłyszałem go. Chłopak zaczął wyć... Boże, to wycie... nie podejrzewałem, że człowieka potrafi wydawać taki dźwięk, nawet zwierzęta tak nie umieją. To był głuchy, przeciągły odgłos. Odbijał się echem w mojej czaszce, zagłuszając wszystko inne. Niewiarygodne, ale on nawet nie musiał robić pauzy, żeby zaczerpnąć powietrza, był w stanie kontynuować bez przerwy. Nie wiem ile to trwało. Niby było to tylko kilka sekund, ale wydawało się ciągnąć przez wieczność. Wszystko to było przeraźliwie absurdalne, pozbawione sensu. Staliśmy tam, nie wiedząc, co zrobić. Aż nagle Ryszard zaczął wyć w ten sam sposób. To był ten sam nieludzki dźwięk. Chwilę potem dołączyli pozostali. Nie wiem czy ja też krzyczałem, ale pamiętam uczucie rozsadzania czaszki od środka i krwi mocno pulsującej w skroniach, więc sądzę, że też.

Przełknął głośno ślinę po ostatnim zdaniu. Jego dawny spokój zniknął, głos nie miał w sobie już tej pewności siebie. Dopalił fajka, którego dotąd miał w ręku. Szybko wyciągnął z paczki kolejnego. Końcówka papierosa zajarzyła żarem, gdy zaciągnął się. Deszcz wygrywał melodię. Wieczorny chłód wywoływał dreszcze. Stojący w oddali człowiek wciąż mókł.

– To nie wszystko, wydarzyło się dużo więcej. Patrzyłem na chłopaka, jak się miotał i szarpał, nie przerywając upiornego skowytu. Wtedy też zobaczyłem, jak jego twarz się wykrzywia. Nie chodzi mi o jakąś mimikę, ona wykręcała się w nienaturalny sposób, jakbym patrzył na odbicie w krzywym zwierciadle. Przez moment myślałem, że naprawdę zwariowałem i mam omamy, ale to szło dalej. Po chwili zobaczyłem, jak całe jego ciało wygina się w ten sam sposób. Załamywało się i znikało, jakby było wciągane do wewnątrz. Wszystko dookoła zaczęło lecieć w jego stronę. Nic mnie nie pchało z miejsca, w którym stałem, ale byłem coraz bliżej. Nie wiem, czemu od razu nie uciekłem, ale z tego zapadającego się ciała, które widziałem, wciąż dochodziło to przerażające wycie. Coś mnie zmuszało, żeby dalej słuchać. Moje ciało wydawało się zeszywniałe, jakby zmęczone ponad limit. Nie myślałem już o niczym, tylko nieskończona rozpacz przeszywała mnie na wylot. Nagle poczułem uderzenie w twarz, które uwolniło mnie z transu. Zobaczyłem, że to Ryszard obudził mnie. Musiał sam wcześniej wyrwać się z zamroczenia. Od razu machnął ręką, wskazując w kierunku drzwi. Ruszyliśmy biegiem, ale im dłużej pędziliśmy, tym dalej drzwi były. Udało mi się dopaść wyjścia dopiero, gdy Rysiek pchnął mnie do przodu. W pół kroku na zewnątrz odwróciłem się na moment....

Oddychał głęboko. Papieros. Deszcz. Chłód. Nieznajomy mężczyzna.

– Gdy się odwróciłem, nie było już pokoju. Był tylko szeroki korytarz ciągnący się w nieskończoność, głęboko aż do kompletnej ciemności. Echo krzyków odbijało się od ścian odległych tak bardzo, że nie mogłem ich dostrzec. Ryszard przewrócił się i leżał na podłodze. Nie ruszał się, ale mimo tego znikał coraz bardziej w mroku. W końcu tylko jego wyciągnięta ręka była widoczna z daleka. Cały czas krzyczał, żebym mu pomógł, ale w końcu jego głos zmieszał się w jedną melodię z obłąkańczym wyciem. Wiedziałem, że nie dam rady go uratować. Wybiegłem na zewnątrz, nawet nie myślałem o obchodzeniu domu dookoła, żeby dostać się do ambulansu. Ruszyłem prosto przez ogród w kierunku sąsiedniej działki. Rośliny dookoła dziwnie rozciągały się w stronę, z której biegłem. Drobnе rzeczy na ziemi leciały same z siebie. Teren był równy, ale czułem, jakbym biegł pod górę, ledwie łapałem oddech. W ciemności niewiele dało się zobaczyć. Bałem się, że przewrócę się i spadnę z powrotem do

tego koszmaru. Nie wiem do końca, co się stało, ale chyba wskoczyłem na stertę śmieci i przebiegłem po niej nad ogrodzeniem. Sąsiad miał tam jakiś staw, a ja wleciałem wprost do niego. Leżałem twarzą w dół, pod wodą. Dusilem się, ale nie robiło mi to różnicy. Wciąż czułem wsysającą siłę za sobą. Wciąż to wycie...

Myślałem, że już nie da rady. Łzy leciały mu po policzkach. Nie zwracałem już uwagi na otoczenie. Wreszcie po kilku sekundach kontynuował.

– Człowiek, który tam mieszkał, wyciągnął mnie z wody. Był wściekły, ale nie rozumiałem prawie nic z tego, co mówił. Wiem, że krzyczałem coś o domu, z którego uciekłem. Pamiętam tylko, jak odpowiedział „ta działka jest od zawsze pusta”. Kiedy tam spojrzałem, rzeczywiście niczego nie było. Tylko ogrodzenie i trochę śmieci, poza tym tylko pole. Przyjechała po mnie kolejna karetka, nawet zabrali mnie do tego samego szpitala, z którego wcześniej wyjeżdżałem. Potem dowiedziałem się, że nie odbierali żadnych wezwań do miejsca, z którego mnie przywieziono. Twierdzili też, że jestem u nich rezydentem, ale jeszcze nigdzie mnie nie wysyłali. No i w końcu usłyszałem, że nigdy nie było tam żadnego Ryszarda. Po prostu nie słyszeli o kimś takim. To wszystko; wszystko, co widziałem, wszyscy ludzie, wszystko zostało wymazane z istnienia. W końcu odszedłem z pracy. Bałem się też szukać tamtego miasta, w którym to wszystko się potoczyło. Nikt nie wiedział o tamtych wydarzeniach, tylko ja. Te wspomnienia pozostały ze mną już na zawsze.....

Ostatnie słowa wypowiedział z trudem. Chwilę potem schował twarz w dłoniach. Jego oczy były czerwone od płaczu. Ja siedziałem, wbity w miejsce szokiem. Nie takiej historii się spodziewałem, zupełnie nie takiej. Deszcz przestał już padać. Powietrze pozostało przesiąknięte wilgotnym chłodem. W ciemności spojrzałem na mój telefon. Aplikacja pokazała nagranie minus 40 minut, zegar wskazywał godzinę 99:99, a bateria była pozbawiona energii. Uderzyłem palcem w ekran. Momentalnie zgasł. Dopiero wtedy dostrzegłem sylwetkę niedaleko mnie. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem mężczyznę stojącego tuż obok. To był ten sam nieznajomy, którego widziałem w oddali. Trwał w jednej pozycji, bez ruchu. Niepewnie powiodłem wzrokiem w górę, w kierunku jego twarzy.

– Czekaj – odezwał się nagle Damian – nie patrz tam!

Odwróciłem się w jego stronę. Patrzył mi prosto w oczy.

– Widzisz go, prawda? – zapytał cicho. – Stoi tam?

Przytaknąłem niepewnie.

– To on. Ten człowiek, ten stojący obok. To tamten mężczyzna, którego wtedy widziałem. Będzie za tobą chodził. Wszędzie, w każdym miejscu. Będzie zawsze stał niedaleko, ale nigdy, przenigdy nie patrz mu w twarz.

Te słowa były straszne. Mówił całkowicie poważnie, jakby ostrzegał o niebezpiecznym szlaku kogoś, kto właśnie wyrusza w podróż.

– Jak to? – spytałem przestraszony.

– On zawsze tam będzie, na ulicy, w pracy, w domu. Nigdy nie chodzi, ale zawsze jest w pobliżu. Będzie cię śledził, bo teraz znasz całą historię. Każdy, kto ją usłyszał, widzi go, ale słyszałem też, że ci, którzy spojrzą na jego oblicze, znikają tak jak ci ludzie wtedy. Tak jak Rysiek. Nie rób tego, pod żadnym pozorem.

– Zaraz, czemu mnie nie ostrzegłeś wcześniej?!

– Dałem ci szansę, żeby się wycofać. Wiele razy. Ty jednak byłeś zdeterminowany, a ja to uszanowałem. Muszę ci jednak podziękować. Dałeś mi pięć, może sześć miesięcy spokoju. Przekazałem całą historię, więc on nie będzie mnie nachodził przez ten czas. Opowiadanie tego strasznie boli, ale było warto. Nie przejmuj się, też możesz to zrobić. Gwarantuję ci, że nie zapomnisz żadnego detalu. Kiedy usłyszysz się ją raz, pozostaje z tobą na zawsze.

Strach pozostał, ale zdziwienie ustąpiło zamyśleniu. Musiał dostrzec to na mojej twarzy, bo od razu dodał z lekkim uśmiechem.

– Tak, masz rację. Ja też usłyszałem ją od kogoś innego. Tamta osoba też usłyszała od kogoś jeszcze innego. Ten łańcuch jest bardzo długi, jestem tego pewien. Nie wiem czy człowiek, który naprawdę to przeżył, jest jeszcze pośród żywych. Wiem za to, że dzieląc się tą historią, dosłownie przeżywasz ją po raz kolejny.

Wstał powoli, niepewnym krokiem podszedł do mnie.

– Chciałeś niezwykłej historii. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

Poklepał mnie dwukrotnie po ramieniu i ruszył, chybocząc się na boki jak pijany, w mrok nocy. Zostałem sam z nieznajomym. Jeszcze przez długi czas bałem się ruszyć. Siedziałem, myśląc o tym, że wolałbym nie wiedzieć.



SZORTAL

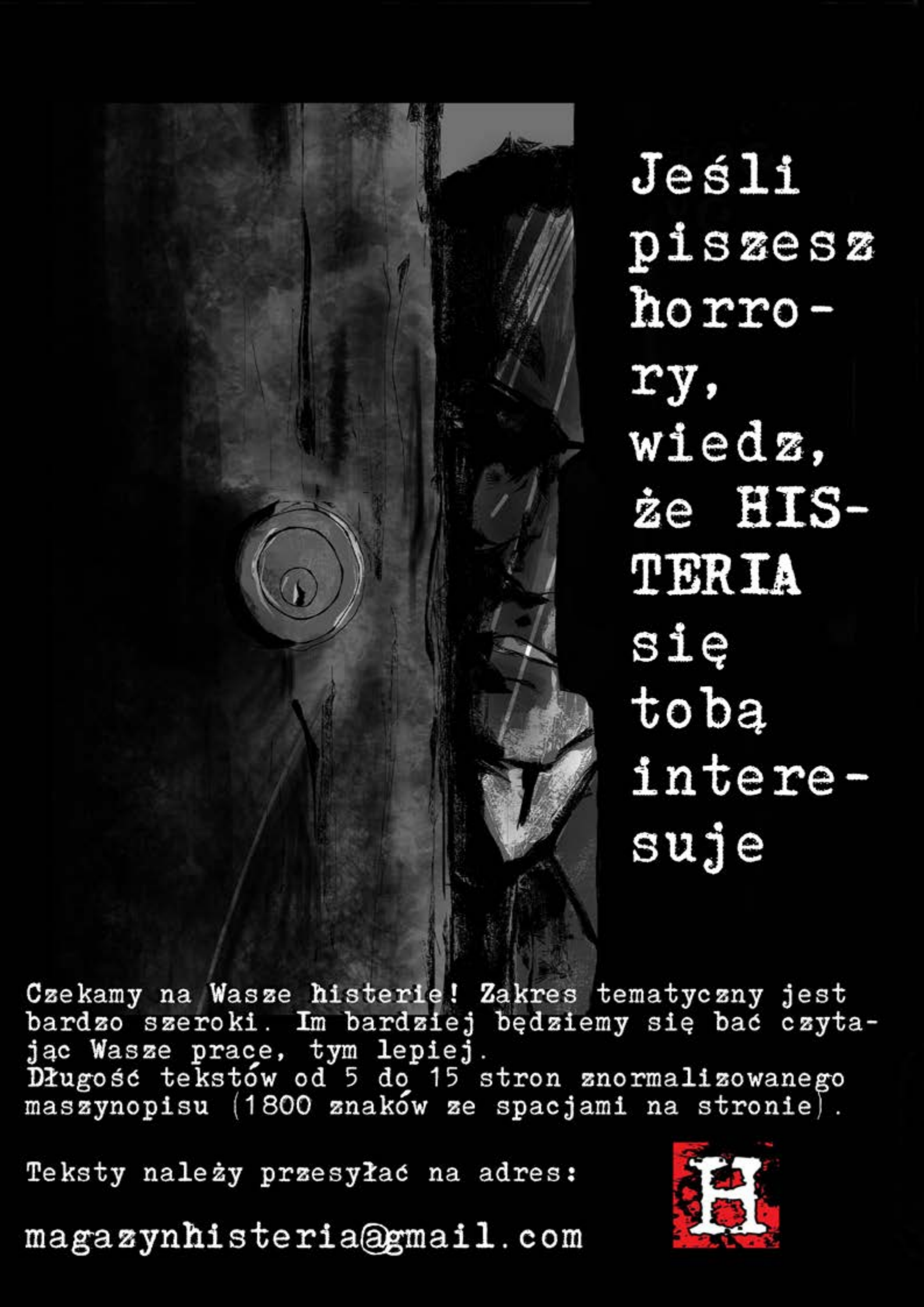
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

PARTNERZY





Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bąć czytając Wasze prace, tym lepiej.

Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

